

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład:
40.000
Redakcja:
Daszyńskiego 16
Administracja:
Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V

Warszawa, dnia 9 maja 1948 r.

Nr 19 (180)

MAKSYM GORKIJ

ODPOWIEDZ INTELEKTUALIŚCIE

Dnia 6 kwietnia 1931 roku Maksym Gorkij w zakończeniu listu do pewnego intelektualisty zachodnio-europejskiego przepowiedział katastrofę drugiej wojny światowej.

List Maksyma Gorkija nie stracił na aktualności i dzisiaj. Ogłaszamy równocześnie nadesłany do naszej redakcji artykuł Emmanuela Mounnier, poświęcony zagadnieniu przyszłości kultury europejskiej.

Szereg intelektualistów i pisarzy europejskich szuka obecnie dróg porozumienia, współpracy i skupienia się dla walki o pokój i warunki dalszego rozwoju kultury.

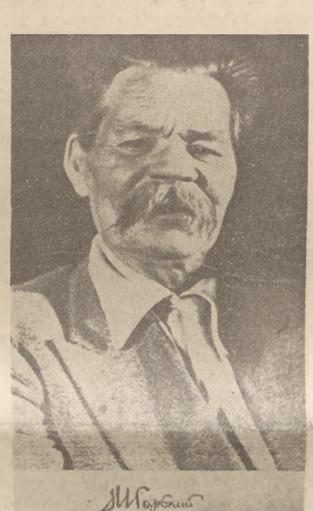
Pisze Pan do mnie: wielu intelektualistów europejskich zaczyna się czuć jak ludzie pozbawieni ojczyzny i w związku z tym wzrasta nasze zainteresowanie życiem w Rosji. Nie rozumiemy go jednak i pytamy: Co się dzieje w Związku Radzieckim?

W Związku Radzieckim toczy się walka rozumnie zorganizowanej woli twórczych mas przeciwko żywiołowym siłom przyrody i przeciwko tej samej „żywiolowości” w człowieku, która, w swej istocie jest instynktową anarchią indywidualizmu, doprowadzonego do ciągu stuleci ucisku państwa klasowego do rozkwitu. Ta walka jest podstawą nowej rzeczywistości w Związku Radzieckim. Kto chce zrozumieć proces rewolucyjny, jaki się dokonał w kulturze dawnej Rosji, zrozumie go tylko wówczas, kiedy będzie go pojmował jako walkę o kulturę i o tworzenie wartości kulturalnych.

Wy, ludzie Zachodu, stworzyliście sobie, o narodzie radzieckim nie mówiąc, którego nie możecie uważać za godny ludzi, mieniących się szczytami kultury w całym świecie, gdyż jest to stosunek jaki ma właściciel sklepu do kupującego, wierzyciel do dłużnika. Nie możecie zapomnieć, że Rosja carska pochylała się do was, a wy, którzy w waszych szkołach, nie pamiętacie jednak, że te pożyczki przynosiły wielkie zyski waszym przemysłowcom i kupcom, i że nauka rosyjska XIX i XX stulecia zasiłała do waszej ogólny strumień wiedzy odkrywczej Europy, i że teraz wy, którzy tyle mówicie o swej twórczości w dziedzinie sztuki, czerpicie z sił, idei i kształtów sztuki rosyjskiej. Nie będziecie chyba przeczyć, że rosyjska muzyka i literatura, tak, jak rosyjska nauka, od dawna stały się wspólną własnością kulturalną całego świata. Powinnościście pamiętać, że naród, który w ciągu jednego tylko stulecia podniósł swą twórczość duchową do poziomu dorównującego temu, który Europa osiągnęła, i w ciągu wielu wieków; że taki naród, który zdobył sobie prawo do swobodnej twórczości, zasługuje a by wrócić na niego uwagę i zainteresować się nim. Czyż nie powinniście sobie teraz jasno postawić pytania o różnicę celów, dla których żyje burżuazja i naród socjalistyczny? Jest chyba jasne, że przywódca polityczny Europy służy nie interesom całego narodu, lecz tylko interesom grup kapitalistycznych, a te są zupełnie przeciwne. Ta wrogosc waszego „narodu” wobec nieodpowiedzialnych kapitalistów, wywołuje takie zbrodnie przeciwko ludzkości, jak wojna światowa 1914 — 1918 roku. Ta wrogosc pogłębia pierwotny brak niuansów między narodami, zmienia Europę w szereg warownych obozów, pochłania olbrzymi potencjał siły ludzkiej, złota i żelaza dla tworzenia narzędzi masowego mordu. Przez tę wzajemną nienawiść kapitaliści pogłębił światowy kryzys ekonomiczny, który z kolei wyczerpuje siły fizyczne narodu i przeszkadza rozwojowi sił intelektualnych. Ta nienawiść tupejących i kapitalistów wywołuje nowy rozlew krwi w całym świecie. Zapytajcie sami siebie: Poczucie się „do wszystkiego”? I jeśli pragniecie szczerze uleczyć się ze swych dręczących wątpliwości i ze swego biernego stosunku do życia, zastanówcie się nad ustrojem społecznym i rozważcie głęboko, nie dając się porwać słowom, cel istnienia kapitalizmu, mówiąc ściślej: zbrodni jego istnienia.

Wam jako intelektualistom, droga jest ta kultura, której ogólnoludzkiego znaczenia nie da się zaprzeczyć „nieprawdą”? A przecież, w waszych oczach kapitalizm niszczy codziennie i systematycznie tak wam drogą kulturę wewnątrz Europy i przez swą nieludzką, cyniczną politykę stwarza w koloniach armie wrogów kultury europejskiej. Nawet gdyby ta kultura grabieżców wyhodowała w cie-

ściach ziemi, zamieszkałych przez ludzi żółte i czarne, tysiące takich samych grabieżców, nie wolno zapominać, że zawsze pozostają jeszcze setki milionów okradanych



Maksym Gorkij

i nędzarzy. Hindus, Chińczyk, czy mieszkaniec Annamu może wprawdzie ugiąć głowę przed siłą armat, nie znaczy to jednak, że schyla ją z szacunku dla europejskiej kultury. I wtedy zaczyna rozumieć, że w Związku Radzieckim tworzy się inna kultura, różna od tamtej w formie i treści.

W Związku Radzieckim szybko postępuje proces przyswajania naj lepszych i bezspornie wartości dokonanego przez ogólnoludzką kulturę, proces przyswajania i dalszego pogłębiania tych wartości. Oczywiście stary świat musi przy tym ulec zniszczeniu, ale to jest warunkiem wyzwolenia jednostki z przeróżnych ograniczeń krepujących jej rozwój intelektualny, warunkiem zrzucaenia peł klasowych idei i wierzeń. Głównym celem procesu kulturalnego w ZSRR jest zjednoczenie ludzi w niepodzielną całość. Praca ta jest planowa i opiera się na całej historii ludzkości. Oznacza początek odrodzenia nie tylko narodowego, lecz światowego. Marzyli o tym także jednostki, jak Campanella, Thomas Morus, Saint-Simon, Fourier i inni, wtedy, kiedy jeszcze nie było zapowiadano, że ich marzenia w dziedzinie przemysłowej i technicznej staną się rzeczywistością. Teraz urzeczywistnienie to się zbliża, marzenia utopistów przybierają kształty realne w dziedzinie nauki, nad realizowaniem ich pracują wielomilionowe masy. Potrzeba jeszcze jednego pokolenia, a w samym tylko Związku Radzieckim wyrósłoby 200 milionów twórczych ludzi, którzy będą pracowali nad wcieleniem tych marzeń w życie.

Pragnienie wiedzy wzrasta coraz silniej. W ciągu ostatnich 13 lat założono w ZSRR kilkadziesiąt Instytutów Badań Naukowych, nowych uniwersytetów i technicznych szkół wyższych. Czy państwo burżuazyjne postawiło sobie za cel i czy może postawić sobie za cel rozszerzenie kultury wśród mas ludu pracującego? Na to proste pytanie historia daje odpowiedź przeczącą. Kapitalizm przewidywał rozwój umysłowy mas pracujących o tyle tylko o ile, to potrzebne dla lepszego rozwoju przemysłu i handlu. Człowiek w ustroju kapitalistycznym liczy się tylko jako mniej lub więcej kalkulująca się siła robocza, jako obrona istniejącego porządku. Kapitalizm nie doszedł jeszcze i nie mógł dojść do zrozumienia, że sens i cel prawdziwej kultury leży w dążeniu do rozwijania i gromadzenia energii intelektualnej.

Aby energia ta mogła rozwijać się nieprzerwanie i umożliwić ludziom jak najszybsze opanowanie przeróżnych sił i bogactw przyrody, trzeba zwolnić maximum energii fizycznej od beznadziejnej, bezplanowej pracy, wykonywanej przez masy pracujące w imię klasowych, samolubnych interesów kapitalistów, zrabusiów i pasożytów. Dla ideologów kapitalizmu, pojęcie ludzkiej indywidualności jako czynnika przynoszącego pewien wkład energii intelektualnej, jest zupełnie obce. Mimo wszystkich pięknych słów i frazesów ideologia wyznawców panowania mniejszości nad większością jest w samej swej istocie zwierzęcą.

Państwo klasowe skonstruowane jest na wzór zoologicznego ogrodu, gdzie zwierzęta siedzą zamknięte w żelaznych klatkach. W państwie klasowym skonstruowano więcej lub mniej zreszcie klatki pojęć, które sztucznie dzielą ludzi, uniemożliwiają rozwój indywidualnego uświadamiania sobie własnych interesów i stworzenie jednolitej, prawdziwie ludzkiej kultury.

Czy mogą zaprzeczyć, że indywidualizm jednostki także i w Związku Radzieckim ulega pewnym ograniczeniom? Oczywiście, że nie. W ZSRR wola jednostki napotyka na opór za każdym razem kiedy zwraca się przeciw woli mas, świadomych swego prawa do nowej formy życia, kiedy przeciwstawia się woli mas dążących do pewnego celu, którego jednostka nawet obdarzona geniuszem nadprzyrodzonym, nigdy nie mogłaby osiągnąć. Ulegając posłusznemu podszeptom państwa kapitalistycznego intelektualności Europy i Ameryki, czennikarze, publicyści i ekonomiści, świadomie lub nieświadomie służą interesom burżuazyjnego ustroju klasowego, który powstrzymuje postęp ogólnoludzkiego procesu kulturalnego. W tym procesie, rolę coraz bardziej aktywną odgrywa wola mas zmierzająca ku stworzeniu nowej rzeczywistości. Intelektualiści wierzą, że bronią wolności demokracji, bronią „wolności indywidualnej”, mimo że wolność ta zamknięta jest w klatki pojęć, ograniczających rozwój intelektualny, bronią „wolności słowa”, chociaż kapitaliści opanowali prasę, która służy tylko ich nieludzkim, zbrodniczym interesom.

Lud pracujący w Związku Radzieckim rozumie przede wszystkim rzecz najważniejszą: że władza jest w jego rękach. W państwach burżuazyjnych prawa ustanawiane są z góry przez wyższe Izby parlamentu, w celu umocnienia władzy klasy panującej. W Związku Radzieckim prawa tworzy się w organach niższych, w sowietach wiejskich, w radach zakładowych, i jeśli się pilnie obserwuje etapy ustanawiania jakiegokolwiek prawa, łatwo się przekonać, że celem, jaki tu przysiężono, jest nie tylko zaspokojenie istotnych potrzeb mas pracujących, lecz także ich rozwój kulturalny. Masy robotników i budowniczych ZSRR uczyniły rozumieć, że proces podnoszenia się ich dobrobytu materialnego i ich rozwój kulturalny jest sztucznie i złośliwie powstrzymywany przez kapitalistów Europy i Ameryki. Ta świadomość sprzyja również z natury rzeczy rozwojowi uświadamienia politycznego i poczucia własnej siły.

Gdyby intelektualiści Europy i Ameryki, zamiast słuchać podszeptów i wierzyć zdracom przemysłowi dokładnie i uczciwie historycznie znaczenie procesu, który rozwija się w ZSRR, zrozumieliby, że cel tego procesu jest następujący: przyswojenie niezaprzeczalnych wartości ogólnoludzkiej kultury 160 milionowemu narodowi. Zrozumieliby, że naród ten pracuje nie tylko dla siebie, lecz dla całej ludzkości, ukazując jej, jakiego cudu może dokonać rozsądnie zorganizowana wola życia.

Wreszcie musimy postawić pytanie: Czy intelektualiści Europy i Ameryki pragną nowej rzezi światowej, która zmniejszy jeszcze bardziej ich liczbę i uczyni ich jeszcze bardziej bezsilnym? Pracujące i budujące masy ZSRR nie pragną wojny, one chcą stworzyć państwo równych ludzi.

Maksym Gorkij
przetłumaczyła K. Wojciechowska

EMMANUEL MOUNNIER

SPECJALNIE DLA „ODRODZENIA”

WOJOWNICY NADZIEI

„Szczęście”, mówił Saint-Juste w porwywie historyzoficznego natchnienia „jest ideą nową w Europie”. W samej rzeczy, szczęście miało być w okresie dwu stuleci wielkim mitem wieku liberalnego, tak jak harmonia była mitem chrześcijańskiego średniowiecza. Kto mówi o szczęściu, nie mówi o przeżyciach czy też wielkim napięciu sił życiowych, lecz ma wizję spokoju, szczęśliwej równowagi umiarkowanych uczuć, pewności. Rodząca się demokracja myślała, że porafi wreszcie zabezpieczyć pewność polityczną; liczyła na to — z dobrą wolą, opartą bardziej na optymizmie niż szlachetnym pobudkach, — że osiągnie stan pewności ekonomicznej, „największe” szczęście dla największej liczby”, jak głosiła formuła moralistów i ekonomistów.

Przy końcu pierwszej połowy tego stulecia obserwator, który by chciał scharakteryzować samopoczucie europejskie powiedziałby raczej: „Rozpacz jest ideą nową w Europie”. Egzystencjalizm, przynajmniej ten, o którym się mówi (a nie jest on jedyną falą pesymizmu ogarnął rozległe dziedzinie myśli. Kryzys nauki, kryzys wiary religijnej, kryzys struktur politycznych i ekonomicznych, przychodzący równocześnie, wstrząsnął starymi grzechami naszej cywilizacji i zachwiał jego podstawy. Stąd u ludzi, niebronionych silną wiarą religijną czy polityczną coraz powszechniejsze przekonanie, że świat jest absurdalny, że nie ma nam nic do powiedzenia i na nic nie może dać odpowiedzi, że historia pozbawiona jest sensu, a nasze życie nie ma celu. Nie jest to wyłącznie sprawa filozofów. Tyle razy ludzki rozum zawodził w swej nadziei, że w końcu, w końcu w dwu kolejnych wojnach światowych i w swych ofiarach dla rewolucji, obracanych w nieważny pył, w końcu, gdzie albo uległ wypaczeniu albo utykał na martwym punkcie. Nigdy jeszcze bieg wypadków, — zmiany ustrojowe, procesy polityczne nie wydołyby na widok publiczny tylu ludzi, którzy dzisiaj nazywają czarnym to, co wczoraj uważali za białe, dając załosne wyobrażenia o trwałości pewnych przekonań. Wrażenie, że wielkie siły, wymykające się kontroli jednostek i niekiedy państw nawet, kierują historią świata, zaczęły nad światem zdomować zbiorową cieniem fatalizmu, przesłanującego już naród grecki, fatalizmu, który zdawało by się rozproszyła jasna myśl filozofów.

Jeżeli zwracam uwagę na tyle warunków zewnętrznych sceptycyzmu, znudzenia, nieokreślonej obawy przyszłości, które opanowały dzisiaj narody Europy to dlatego, że było by niesprawiedliwe widzieć w tym tylko oznaki upadku. Mało było epok, równie bezwzględnych dla ludzi średniej miary, nie zdradających ani specjalnego porwywu do behaisterwa ani szczególnego upodobania do wielkich przygód, jakie daje władza. Trudno uzmysłowić sobie lepiej ten nowy stan rzeczy jak na przykładzie sztuki wojennej rycerza z czasów Ludwika XI i piechura z roku 1948. Pierwszy, jak to zresztą mówi samo określenie, walczy „z otwartą przybielą”, „stawia czoło”, nie „przyjacieł”, jest przed nim, w zasięgu jego spojrzenia, plac boju, który rozciąga się przed nim, z lewej i z prawa jest przestrzenią przyjazną. Dzisiaj lotnictwo i groza pocisków wszelkiego rodzaju uczyniła niebo nieprzejrzalym. Technika piętę kolumny przeszcza wroga wszędzie. Wojownik dzisiejszy jest wojownikiem osaczonym. Nowocześnie europejski czuje się człowiekiem osaczonym.

Jesteśmy również świadkami, datującego się od chwili uzyskania niepodległości rozkwitu nowego i dosyć wyszukanego rodzaju: gatunku czarnych proroków. Sami lubią nazywać się oni prorokami Apokalipsy. Idea ciekawa zważywszy, że Apokalipsa była pieśnią triumfu i poczucia pewności. Myślę, że można by ich znaleźć we wszystkich krajach, zaczynając od Koestlera i jego „sprzysiężenia pesymistów” aż po tę małą grupkę ponurych młodych ludzi, bardzo serio, jak wszyscy lekomyślni Włosi, którzy we Florencji tworzą orszak wieszczków dookoła Papiniego. Dość zresztą przypomnieć nazwę Kassandry francuskiej.

Jedni noszą kostium, który choć nieco wyszedł z mody, dobrze znany jest tym, którzy żyli w okresie między dwiema wojnami. Ci są przez pół na żółdnie maurrasimu. Oni to przejeźli mił trzech R: Renans, Reforma, Rewolucja są dla nich trzema etapami stałego i nie-

wątpliwego upadku społeczeństwa, które wyrzekło się swoich czterdziestu królów i swego korporacjonizmu. Jedni z nich rozpolitykowani i porywcy powstają gwałtownie przeciw czwartej republice, gdyż zrobili przeciw trzeciej, drudzy nostalgiczni i rozczulający toną w błękitnych snach, na które pozwalają im renty, wolny czas i wrodzone skłonności. Inni są bardziej filozoficznie nastrojeni jak np. p. René Guénon, od dwu lat zapowiadający naszą cywilizację śmiertelnym panowaniem Jakaśi; niebezpieczeństwo, którego jak się zdaje p. Guénon raczej niedocenia, gdyż zapomina powiedzieć, że uczeni wszystkich kierunków coraz częściej uważają wszechświat za układ matematyczny. Jeszcze inni są bardziej teologami, chęć tylko teologami z amatorstwa, jak ta para studentów politechniki, która w 1933 wydała sensacyjną książeczkę, z pretensją do ustalenia w sposób naukowy daty grzechu pierworodnego i wykazania, że od tego cza-



Emmanuel Mounnier, redaktor naczynny katolickiego miesięcznika „Esprit”

su nie tylko człowiek, ale i wszystkie gatunki zwierząt systema, tymnie cofają się w rozwoju. Ten wielki hałas, który się rozlega, to George Bernanos, który głosem grmiącym zapowiada, że cywilizacja francuska zagrożona jest przez świat robotów, świat zrodzony z maszynizmu. To znów poeta, który pobylł sobie w Indiach, pan Lanza del Vasto, tworzy podręcznik Faryza rodzaj gminy phandystów i poucza, że człowiek ma tylko cztery potrzeby, które może sam zaspokoić, powierzając się zaś cywilizacji naraża się na najgorsze nieszczęścia. Poruszenie wywołane wynalazkiem bomby atomowej i opisy powracających z obozów śmierci — to wszystko co Dawid Rousset nazwał światem odrutowym — od trzech lat napieniają gorącą sumieniem Europy. Czy tak ma pozostać?

Małe pismo francuskie, zagubione na zapadłej prowincji wydało tej zimy, zapewne wielkim kosztem, numer specjalny: „Przeciw duchowi katastrofizmowi”. Dzielne małe piśmiemko! Pierwsiosek pośród zimy! Zuchwałość młodości! Głos jego nie jest osamotniony. W chwili gdy wszystko zdaje się zamykać przed nami w tej niekończącej się zimie europejskiej tak długiej, że ludzie zaczynają wątpić czy tym razem powróci wiosna, skromna wiosna z odrobiną spokoju, odrobina nadziei z dłuższymi dniami sprzyjającymi wielkim zadaniom, czas by nam zorganizować, nie powiem sprzyjszenie optymistów, bo nie znam nic smutniejszego od optymisty a i bardziej niebezpiecznego — ale zespół ludzi dobrej woli, więcej nawet, bo nie idzie tu o marzenia — zastęp bojowników nadziei.

Pierwszą zasadą mojego bractwa będzie, abyśmy wzięli na siebie nie starając się od niej uciec, całą bezradnością naszego świata. Bojownik nadziei, aby mógł walczyć jak człowiek pierwotny powinien sam płonać rozpaczą tych których chce wyrwać z rozpacz. Dlatego mówię przed chwilą, że nie należy pomniejszać niepokoju ludzi naszych czasów. Jeżeli jest on oznaką słabości, jeżeli niektórzy lubują się w nim chorobliwie, jeżeli wynikiem jego jest wyliczenie się poza nawias ogólnych trosk i prac ludzkich, to nie chodzi tu tylko o chorobę społeczną. Nie mylmy

prawdziwych wojowników nadziei z tymi, którzy są niezdolni do uczenia się, stłuczenia w niedoli ludzkiej, do odczuwania całej znikomości życia, do podlegania wielkim niepokojom ludzkości. Jedną z najpiękniejszych pieśni nadziei, jaka powstała w języku francuskim „Porche du Mystère de la Deuxieme vertu”, Karol Peguy napisał, jak już dziś wiemy w godzinie największych cierpień i próby.

Naszą drugą zasadą powinno być, ażeby napotykać na trudności — jak mawiał Descartes — dzielić je celem łatwiejszego przekroczenia zamiast odmalowywać je w przesadzających barwach doprowadzając siebie i bliżnich do stanu nieprzeżytności. Ostatnio udało mi się zrobić niechęć pewne doświadczenie. Przypadek który dobiega na naszych stołach książki w czasie choroby, pozwolił mi przeczytać kolejno po sobie: pamflet Bernanos przeciwko światu maszyn i książkę Georges Friedmanna poświęconą metodom humanizacji pracy przemysłowej, opracowanym na całym świecie bez względu na ustrój. Zmęczenie przynębięnie, monotonia, mechanizacja, krótko mówiąc wszystkie niebezpieczeństwa, jakie grożą człowiekowi ze strony maszyn umiejscawia Friedmann w świecie realnym, chcąc je zrozumieć i przezwyciężyć zamiast nimi szermować i budzić postrach. Bernanos jest autorem książek niezapomnianych i nie mamy zamiaru o nich zapominać z powodu tych głuport, jakie wypisuje od trzech lat. Trzeba jednak wyznać otwarcie, że uderzający był kontrast pomiędzy jałowymi pokrzykwaniami pamfletyści i dzieciennymi argumentami, którymi próbował je poprzeć, a obrazem powolnego i spokojnego cboru rozumu, który wyszczucując krzykaczy pyta: „O co chodzi?” i rozpoczyna swa cierpliwa pracę, analizuje problem, próbuje środków zaradczych poskramia populch. Kiedy widzę człowieka, który wyrusza do lasu, aby uciec przed obmierzłym światem techniki, krzyczę: „Uważaj! Zabierasz ze sobą najwymyślniejszą, najbardziej skomplikowaną ze wszystkich naszych maszyn!” On się odwraca; nie rozumie, że mówię mu o jego własnym cielem.

Nasza trzecia zasada... Żeby ją zrozumieć musimy się „dwoić do wspomnień wojennych. Kiedy nasze oddziały, w 1940, były wystawione po raz pierwszy na ataki samolotów pikujących, działających straszliwie na morale bezradnego żołnierza, przyszedł do naszej jednostki okólnik Sztabu Generalnego, w którym po raz pierwszy doszukaliśmy się śladów znajomości psychologii i który w przybliżeniu brzmiał następująco: „Najgroźniejszą rzeczą dla człowieka zaatakowanego, jest nie nie robić. To łamie jego odporność. Za wszelką cenę trzeba nakazać waszym ludziom, aby strzelali do samolotów, które ich atakują. Jeśli chodzi o samoloty, nie wiele im to zaszkodzi. Wyjąwszy wypadek jeden na dziesięć tysięcy. Lecz jeśli chodzi o ludzi, pomoże to im wytrzymać uderzenie”. W tym leży istota rzeczy. Często cytuję sie historyczne słowa: „Nie potrzeba mieć nadziei, aby podjąć inicjatywę”. Być może, lecz to właśnie inicjatywa pozwala mieć nadzieję, a bierność przyprawia o rozpacz. Ktoż to dziś podtrzymuje poczucie nadziei? Niemal wyłącznie ci z socjalistów (lub komunistów), i chrześcijan, którzy mają wiarę czynną. Dla nich świat posiada sens, i to sens warunkowany wysiłkiem człowieka. Mają coś innego do roboty niż przyglądać się i narzekać. Z tego co robią będą musieli zdać rachunek tak jak już zdają rachunek wobec własnego sumienia. A że oni są dla świata i świat jest dla nich: nie są samymi — o tyle, o ile dane jest człowiekowi nie być nim. Wyleczyli się z choroby wieku; ponieważ przeszli zatrucie tą chorobą i przysięgli się z niej oczyścić. Tutaj książka Friedmanna powraca do naszego argumentu: maszynizm nie jest już groźbą, odkał, krok po kroku, zebrano się do jej przezwyciężenia. Na tym polega oczyszczenie z wartości prac: większość książek rozpracowanych, to książki próżniaków.

Jasne, że społeczeństwa dźwiga, jące się buntują się przeciwko kryzysom zbiorowej zgorzkniałości. Rozczarowanych znajdujemy wśród Rzymian późnego cesarstwa, wśród libertynów kończących się monarchii, wśród romantyków lub sceptyków, chylących się do upadku burżuazji, — nie znajdzie-

(Dokończenie na str. 2)

895.K.1948.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

ZIEMIA ŚWIĘTEGO JUSTA

Tydzień świąteczny spędzam daleko w przestrzeni i daleko w czasie. Przestrzeń jest spokojna szeroka dolina, dolina podgórska właśnie, a nie górską; zatem rozsiadła, jasna, podana wczesnym wschodem i późnym zachodem. Jest to — wciąż jeśli chodzi o przestrzeń — polskie południe i powietrze ma tu jakąś przejrzystą błękitność, jakąś miękkość i jakiś ciepły, żywy, kojący, który czarem przypomina Zaleszczyki i Toskanie, Rodan i Nowy Sad. Jest tu pogórskie bogactwo krajobrazu, — i człowiek odpoczywa po monotonii mazurskiej, po wielkiej równinnej części — rozciągniętej pomiędzy martwością ciemnych podberlińskich jezior i pylnymi szlakami brzozy Białorusi. Opodal dolina rozszerza się i rozplaszcza, przechodzi w nieckę jakby, — w samym środku owej nieckie glebowej, jak zwal ciemnego ciasta, zwiesiły się wokół drewnianego podhalańskiego kościółka potężne, konarne lipy. Kościółek jest piękny w kształcie, budowie — coż kiedy A. D. 1899 parafia, w przystępie niewczesnej hojności, powyrzucała stare, zbutwiałe, pewno gonty i w ich miejsce pokryła dach blachą cynkową. Wnętrze kościółka we wczesniejszej nieco epoce popačkano hojnie barokiem i farbą i wydyma się to teraz wulgarnie. Ale lipy nie potrzebowały ani pokostu, ani nowego posycia. Są piękne. Mają w sobie tę prostą, prawdziwą wielkość, rasę chciały by się rzec — jakież słowniki można by tu użyć? Podczas rezurekcji, gdy drewniany kościółek grał jak uduko skrzypiec, stojąc na zewnątrz, pod tymi lipami właśnie, liczyłem ich wiek. Po chwili wpatrzony się poznałem się, że nie są jednakowo stare; było tego co najmniej trzy kategorie, generacje. Widać przychodził czasem wicher i obalał niektóre, potem w ich miejsce sadzono nowe. Fotem jeszcze nowsze. Tam skąd wicher tu wiejące były najśliszniejsze. Nie trudno było dostrzec, że najgroźniejsze wicher tu te z południa i ze wschodu. Lipy, okalające kościółek od zachodniej strony były najstarsze. Wypróchniałe mogły runąć od dawna. Pewno osłaniał je ten kościółek, w sobie zbrany, mocny, krępy jak chłop pogórski, cały zbudowany z ogromów modrzewiowych, jakich dziś nie ma na świecie. Modrzewie zresztą rosną w tych dolinach. Jest ich nawet dość wiele. Rudzieją z daleka na tle czerni świerków. Ale nie są to już potężne, mocarne modrzewie; takie jak te, z których stawiano ten kościół i dziesiątki, setki kościołów jak ten właśnie, jak on rozsypanych różnorem od Tymbaraku po Biecz i dalej! Są to pawie wśród drzew; iabędzie; mohikanie. Ich żywica pachnie zachodem i śmiercią.

Wielkosobotnim wieczorem, kiedy gasły rezurekcyjne dzwony, po górach, przed lasami, w dolinie, wszędzie zapalały się tysiące świateł. Jasny wieczór dopiero — oraz statystyka — daje pełny obraz tego, jak tu jest tłoczno. Zalaować można, że nie zawlecz się w te strony żaden zagraniczny litosiernik, rozumujący, że „skoro tyłu Polaków zginęło w tej wojnie” i „skoro Polacy mają dziś tyle ziemi”, to rzeczka najrychlejsza winno być nasze odepść z nad Odry i Warty. Może i dolnej Wisły? Ta dolina, ten kraj, to świat przeludniony. Nie przestał on rodzić dzieci i nie przestał krajać morgów. Dawno znikły dworskie, dziedzicowe, strzeplące się już od dawna, wreszcie, ostatnim podrywem, rozzerwane na kawały. Było to tylko trzy lata temu, ale tu przynajmniej, można by sądzić, że było to temu trzy wieki. Rozplynęło się niemal bez śladu. Po dawnemu chałupy się tłoczy. Po dawnemu brak tutaj morgów. Cóż może teraz przyjąć, co przyjąć tu musi? To tylko, że ludzie będą musieli stąd odejść. Dokąd? może do przemysłu — ale kie-

dyż produkcja stała z 1,5 miliona ton skoczy do sześciu, ośmiu, dziesięciu? Kiedy zza granicy przyjdzie sprzęt, który umożliwi takie podniesienie produkcji i takie, w następstwie idące, wchłonięcie ludzi przez przemysł? Ziemia Odzyskana? Tu i ówdzie pościkały z tę pogorza potoki co żywsze, bardziej rwałe; ale masa tutejszych wód ludzkich nie spłynęła razem z nimi. Zatrzymała się tu. W cieniu tych lip, tego kościółka, tych wzgórz, tych modrzewi. „My, panie, schodzimy w niź, ale ku nam, panie, nie idą. U nas, panie, spokojnie. Swojo”.

Właściwie ów podgórski zakątek Polski, który nie jest ani Tatrami ani równiną Tarnowsko-Rzeszowską, ale właśnie takim krajem wzgórz i dolin, często i lasów jeszcze, spełnia, nie uznana jeszcze, rolę jakowegoś matecznika narodowego w wielkim stylu. To nie to, że ludzie, formy, instytucje, zwyczaje i obyczaje, gdzie indziej zamie lub zanikające, mają tu jeszcze twarde, dębowy żywot. To nie tylko matecznik mickiewiczowski. To nie tylko rezerwat przeszłości. To jedyna część polskiej ziemi, którą Bóg nie położył otworem wiatrom, najazdom, przechodom. Może nie uczynił jej niedostępną; ale na pewno uczynił ją trudniej dostępną niż inne. Takie same kościółki jak w tej Łososinie, płonęły gdzie indziej pochodniami i za konfederatów i za Kościuszki w 1809, i w 1831, i w 1914. Takie same lipy były gdzie indziej ulubionym celem najeżdżących artylerii. Tu nie. Lub mniej. Rządziej. Oto właśnie. Prawda, były Gorlice w tamtej wojnie; a w tej podło śliczne, miłe, Jasło. Ziemia te nie byłyby polskie, gdyby nie płaciły haraczu wojnom. Ale nie płaciły go całym dobytkiem pokoleń a tylko częścią. To ważne. Przeto i w dni, kiedy horzont światła zaciąga się chmurami, ludzie nie są tu zbyt skromni, ludzie nie są tu zbyt przychylni do zejścia gromadnie z plachetek powulanych w opiekuńcze doliny. Trwają, przyciążeni. Tu bowiem „spokojnie, swojo”.

Wieczorem rochodzi się wieść, że do kościółka przyszedł diabeł. — Tak, to jest prawdziwy matecznik. — Nie ma w tym nic nieprawdopodobnego — mówią — bo już był... — i cytują obce mi nazwy okolicznych wsi. Jak był tak blisko, musiał dojść i do Łososiny; ma przecież obejmć 900 kościołów w Polsce, chyba nie mało? Nie, nie taki „ze wszystkim prawdziwy” diabeł. I następuje historia; oto tej zimy, pod Wieliczka, grupa „turonów”, inaczej „herodów”, idąc drogą napotkała księdza jadącego do chorego z Panem Bogiem. Wszyscy rzecz jasna, poklekali; i sam Król Herod, i jego marszałek z mieczem. Nawet Śmierć z kosą licytowała w nabożności Trzech Króli. Tylko czarnomazany chłopiec, będący „za diabła” nie kląkł. — Jestem diabłem; nie mogę klęknąć — tłumaczył się. Ale na najbliższym postoju sadze nie dały się zmyć, a koźle różki ze skóra przrosły do czaszki. Był „naprawdę” diabłem. Zalecono mu odwiedzenie 900 kościołów w całej Polsce, chodził zatem i chodzi, aby wrócić do dawnej postaci. Ukrywa się, nieborak, i nawiedza kościoły chytkiem, świadom swej hańby. Ludzie, co pobiegli do łososińskiego kościółka, aby go ujrzyć, wracając zawiedzeni, lecz tylko przez pół. Nie, nie widzieli go, ale dlatego tylko, że ukrył się w zakrytych i niepostrzeżenie wyszedł. Tak zapewniła, w największej wierze, młody człowiek, który, sądząc z legitymacji partyjnej powinien udzielać mniej wiary sprawom nadprzyrodzonym.

Sprawy przyrodzone, zdawało by się, dostarczają tu dosyć powodów do zadziwień. W dolinie szerokiej i żywej, w której potężna rzeka górską rwie nieujarzmiona, łyskąją wśród kamieni jolki i świnki — ryby górskie; w październiku roi

się od łososi. Ale za drugim wzgórzem, tym lesistym garbem jest inaczej. Pachną zgniołymi liśćmi młodych buków, kiedy schodzimy w dół, gdzie przetyka podprzez drzewa szeroka roztoz jeziora. Ma wody o pięknej zieleni górskiej, przydymionej nieco osadami wapna. Po drugiej stronie, za tak rozlanym Dunajcem, ostry ziom ruin zamczeku Zawiszy Czarnego. Ku niemu w przerek, zatrzymując wody w jezioro, biegnie betonem biała zapora różnowska. Spiętrza te wody i rozlewa je tym jeziorem aż po kościół w Zbyszycach i Tegoborzu. W 1935, pamiętam rwała jeszcze dnem tej doliny górską rzeką; marne role i wkliny ciągnęły się pasem. Tu, gdzie teraz zapora, łoskotali sikiery w lesie, zgrzytały obrabiarki. Czerwone znaki wskazywały, kiedy będzie wybuch. Wally się ściany łupkowe, osypywały się glinki. Powolni Białorusini, przybyli tu z zą Mołodeczna ze swymi konikami — mierzynkami ugiętymi pod kabłąkiem „dugi”, rozdrapywali te usypiska do długich, ugiętych ku ziemi wozów. W jasnym domach Zarządu kierownicy budowy mówili po francusku. Wszystko było już niemal zakończone, kiedy w 1939

r. przyszli Niemcy. Postąpili jak z Biblioteką Jagiełłową. Dokonali uroczystego otwarcia ogłaszając całość dzieła jako „twór niemieckiej cywilizacji na Wschodzie”. Puścili o tym broszurę na Amerykę. Amerykanie, zawsze ufni wszystkiemu, co pochodzi z Niemiec, oczywiście wierzyli. Kiedy to się tu budowało z owym hukiem i rozmachem, z sygnałami ostrzegawczymi, wybuchami min, białoruskimi konikami i francuskimi inżynierami, byłem pewien, że owa zapora zatrzymująca wody poruszy drżmiący kraj. Kurne chaty górskie oświeci elektryczność; mechaniczne motorki staną w każdej kuźni, stolarni stelmazni; ruszą warsztaty, pedzone tanią siłą mechaniczną, fabryki (marzyłem jeszcze: i koleje), może elektryczne dojarki? Może farmy elektrycznością pędzone? Może jakaś druga Szwajcaria, czy Norwegia? Byłem jeszcze młody, podróżywałem mało. Czytałem za wiele obcych książek, za mało mówiłem z ludźmi w Polsce. Dziś nikt mnie nie zaskoczy wiadomością, że o parę kilometrów od już zbudowanej dawno zapory różnowskiej po dawnemu stoją kurne chaty — i to

niezar jak najzamożniejszych gospodarzy, że ot, w tej chałupie, gospodyni spi w jednym łózku ze swinią, a i prosieta hodują się w izbie... w obawie (słusznej zresztą) przed szczurami. Różnów swoim porządkiem, a tamto, co od XVII wieku gorszyło wszystkich cudzoziemców — nawiedzających Polskę — też swoim porządkiem. Tak to już u nas jest. Mogą gdzieś huczcze turbiny i pracować generatory, a tamto obok żyje swoim życiem, niezmienione, nieprzeorane, jednaki. Idą na wieś różne organizacje, referenci, powstają koła a jakże, są członkowie, nawet wpływają składki. No i dalej; locha w łózku, prosieta w izbie, kurne chaty, XVII wiek. Matecznik broni się twardo. Przed obcym i przed nowym. Przed ziemi i dobrem.

W ciepłe popołudnie, kiedy już ozieleniają się pola, idziemy drogą, mijani, pozdrawiani. Ukłonny są dla mego towarzysza. Jest nim profesor gimnazjum z sąsiedniej dużej wsi, Ujanowic. — Jest gimnazjum w Ujanowicach? — A jakże! — Ależ, chyba przed wojną...? — Uśmiech wzgardy. — Oczywiście, że przed wojną nie było gimnazjum w Ujanowicach; było za to podczas wojny — wyjaśnia. Tajne, konspiracyjne. Zbierano się po stodolach, szopach; wystawiano warty i czujki. Tu z daleka można było wykryć „granatowych” lub Niemców. Organizatorem był ksiądz, dziekan z Ujanowic. Gdy spalone, narabowane szkoły poczęły zwiewać, gimnazjum stało się jawnym. Gdy przyszło tu państwo — stało się państwowym. — Historia prosta sobie, oto. — A jak to idzie? Jak to idzie? Dziewczyn i chłopcy z gór, robiąc po osiem kilometrów w jedną stronę, w śnieg, deszcz, błoto, przy potokach rozlanych, przebywanych w bród, idą do tego gimnazjum ranek w ranek, dzień w dzień. W przemocznym obuwiu wysłuchują lekcji. Wracają do domów jak stali. Do owych domów, gdzie nigdy nie ma światła, natomiast nieradko są prosiaki. W tłoku jednoizbowej chaty odrabiają zadania. Na drugi dzień — to samo. Nauczyciel stwierdza, że nigdzie nie widział podobnego zapału. Oto jasny promień, który padł w matecznik. I przykład, klucz: iść siłami miejscowymi, poprzez tutejszych, światlejszych. Przybysz zrobi niewiele. Zmiana musi wyjść stąd. Od nich. Z ich łoża. Ich drogami.

W pogodnym niebie nad Dunajcem płynie bezszelstny samolot. Szybowiec. Opodal, ponad wsią, słynną ongi ariańskim zborem (i arianie przeszli jedynie tym krajem, nie zapuścili korzeni, nie zmienili nic) — i przepowiadają, którą czasu wojny powtarzała cała Polska, jest szybowski. Z góry nad lasem wystrzeliwiają samoloty - szybowce, by obkrapać potem doliny, załom Dunajca, jezioro, wście rozsypane. Wysoko nad lasem stanęły baraki mieszkalne. Co roku, w sezonie, kiedy wiatry są dobre, pomieszka tu kilkunastu ludzi. Będą wlatywali na swym spręcie nad górę tegoborską, zataczali półkole, lądowali. Odjadą. Zapora, szybowski i wiele innych tu rzeczy i spraw — są eksterytorialne. Stoją poza tym, co tu się dzieje. Nie wywierają nijakiego wpływu. Nie przekształcały nic. Nie zmieniły niczego. Po dawnemu władze gminne dziwią się słysząc zapytanie, czy są tu jakieś biblioteki? Po dawnemu kurne chaty, locha w łózku, prosieta w izbie. Jest kwiecień, rok 1943 Nie 1848. Nie 1748. — 1948 I nie wiem czy dla tej ziemi, dla tego płachcia małego Polaka, najpożyteczniejszym, jak dotąd jedynie płodnym, nie było skromne, dziekanowskie gimnazjum w Ujanowicach?

Nad Różnowem, w zamku Zawiszy Czarnego (który musiał być isieć jak orle gniazdo; niewielki, a za to ostro wyrzucony w niebo), wzrok idzie daleko. Tamten kraj to polska Nadrenia; to to, co dla Francji dolina Loary; dla Anglii pogranicze Wallii; ziemia zamków. Na szlaku do Węgier, skąd królom sprowadzano żony i żołnierzy, szlachcie ciężkie wino, pospólstwu świecidełka, rozsiadły się Ryttra, Czorsztyn, Melortyn, Olchowcy, Wyczeszki, Stare i Nowe Sączce, Broniono Polski z tej strony, z której najmniej była zagrożona. Musiał to być także olbrzymi wysięk włożony w to kiedyś. Dzisiaj można zastanawiać się jak bardzo był płodny. Czy głęboko wszedł w ten kraj, ponad który się dźwignął? Czy mocno był weń wrośnięty. Co mu dał? Co zostawił? Na innym zamku, poniżej Różnowa, dotrwały rzeźbione w kamieniu smoki też takie jak w Prowansalii, jak w Palermo i Estremadurze. Dziwo że szkoły rolniczej — chłopak zwie się tu „chodakiem”, dziewczyna „dziopa” — patrzy zadziwieni. Im jest to obce. Tkwiło tu, w kamieniu miejscowym rżnięte, od kilku stuleci. Pozostało obce. Smoki mityczne grzeją się w skąpym wiosennym ciepłym polskim pogórzcu.

Natomiast z garbu, dzielącego dolinę Dunajca od tej, którą pynie mała Łososina, swojsko sterczy przgarbiona, drewniana kaplica świętego Justa. Święty Just jest może tym świętym, którego imię jest tu znane najbardziej — i nie ma to nie pomoże fakt, że owego „świętego Justa” próżno szukać w kalendarzu, w poczie świętych i błogosławionych kościoła katolickiego. Ani, że poniektóry, co młodszy, a nie tutejszy wikary, czyma się na owo „święty”, po czym prostuje „pustelnik”. Tak, był to ongi taki pustelnik, Justyn (co przeszło na „Justa”), mieszkał na tym garbie, gdzie dziś kapliczka na jego cześć stawiana rękoma ludzi żarliwych, a prostych. — Kiedy to było? Nie wiedzieć. — Wedle jednych, jeszcze niepelnia sto lat temu, a wedle innych — całe wieki. Czas jest tu rozciągnięty pojęciem. Trzeba by tu posłuchać dłużej; może znalazło by się dosyć materiału na rozprawę doktorską. Ale po co? Postać owego pustelnika Justa oparłoby w międzyczasie babie lato rzewnej, ludowej legendy. Jesli by wierzyć, ów Just byłby obecny i przytomny wszystkim tu

puszcze i kiedy nie było jeszcze ni Zbyszyc, ni Tegoborza, nie mówiąc już o Sienniej, Kobylimgródku czy Młynem, i tym kiedy „cysorz” wybierał podatki i rekruta. Nie wiedzieć, kim był św. Just. Istnieje wersja uparta, że przybył gdzieś z Francji, jest inna, że był polskiego „rodu królewskiego”. Wedle jednych popełnione zbrodnie skłoniły go do pokuty; wedle innych przerosł ongi kazał mu szukać na Podhalu Tebajdy. Legenda, niepewna co do czasu, w którym żył „św. Just”, sporna co do jego pochodzenia, oraz motywów, jest za to zgodna w dwóch innych przedmiotach. Just ludziom pomagał i Just nie karał. Just nie wygłaszał kazań, morałów, przypowieści. Nie dochowało się ani jedno jego zdanie. Ani słowo. Natomiast Just pomagał ludziom zbłąkanym w kniei lub zamieci. Just przewoził ludzi przez wezbrane potoki. Just przepędzał ubogie kobiecie bydo zagubione w lesie. Just pomagał drwalowi urabac drzewa najcięższe i przestregal, kędy padną. To wszystko — i wiele, wiele innych rzeczy robił św. Just. Dziś nie ma puszcz i zelaży zamieć, a i potoki z gór obywatych nie niosą tyle wody, o zwierzu lutym słuch zaginał. Na garbie dzielącym dwie doliny rojono od gospodarstw i tylko na samym szczycie, skąd widać i Zbyszycę i Łososicę, wznosi się Just. „Just” to właśnie ten garb: to jeszcze na owym garbie, drewniana, jak niewielki kościółek, kaplica. Tu kiedyś, w głusz głusz, była pustelnia Justa. Stąd właśnie „czynił dobrze”.

Jest piękny, ciepły już wieczór. Kiedy jesteśmy „na Juście”. Świeci jasno roztoz jeziora, jakie stworzyli tu ludzie. Biało, po soplicowskiem, przestają zą drzew ściany zbyszyckiego dworu. Za Marcinkowicami rośnie grzebień gór. Za nami Kretówka polyskuje późnym śniegiem. Tam dalej są ruiny Czechowa, a tam Wyczeszki, a tu, gdzie krzyż tylko stoi, był kiedyś zamek tegoborski. A potem były dwory i dwory. I tak warstwy historii polskiej kładły się na glebie tych stron przechodziły, znikaly, przesypanye coraz to nową. Cóż było nicia wspólna perel tego różnca? Oto wspomnienie o człowieku obcym, który tu przyszedł, osiadł, żył życiem tych stron i czynił dobrze. Nie królówny węgierskie tedy ciągnące do Kraków; nie Zawisza Czarna, co pół świata zwoiował; nie Diabeł Stadnicki i nie arianie z Tegoborza. Cichy, święty Just. Jakżeż nie mogła się urodzić tu wiara, że ów święty Just i dzisiaj będzie ten płaczech ziemi chronił i strzegł.

JAN ŚPIEWAK

ELEGIA

Długo mieszkalem wśród śniegu dotykając się smutku dni spalonych ołowiem i nocy zwęglonej pieśnią.

Przemykały się sarny w snach, tkliwe drzewa gasiły milczeniem.

Brnęły brzozy przez step, raniąc światło w ginących gałęziach.

Uderzało me serce o cień, zbrojna przestrzeń jak skała skrzydłata poprzez łód, poprzez wiatr kruchą salwę gasiła oblokami.

Kwitły oczy i dłoń, kwitły wargi i głos i na ścianach wspinała się zieleni.

Tylko dotknąć się warg, ująć dłoń, oddech ciepły w żrenicach się wkropili.

U wezwłowa Wasz głos, poprzez ściany Wasz wzrok, w nozdrza biją strumienie jarzębin. Stada godzin i wron krążą w mroku własnego spojżenia.

Krok oddechu się rwie i z zawiei na skroń ślepa trawa uderza siwizną.

Zamieszkując mój strach, burze były gasnących oddaleń. W tłumie liści i drzew

Zmarłe ptaki płynęły ku ogniom.

Nie patrz w liść ani w śnieg

jeśli w smutek ubrany chcesz odejść. Dotkniesz brzozy a płacz

z kory sfrunie, u nóg, gołąb, księżyc i wystrzał i północ.

Nie patrz w noc ani w dzień, ani w skwar ani w chłód, depczą oczy tęsknotę a zieleni dno rzek krwawi, by znów biegly drogi zbłąkane mijaniem.

Wyście obłok i dni, Wyście gałąz i śnieg, Wyście step lodowaty i brzoza.

W Waszych palcach jest piach, w moich oczach Wasz głos chyli noc ku strumieniom jasności. Bezwał chmur, lot kamieni i skok, krzaków

zbiegłych w poplochu, jak zgadnąć, gdzie jest skroń a gdzie szloch

i gdzie kłęzą gołębie bezgwiazdne. W Waszych skroniach tkwi lęk.

W Waszych rzesach jaskółka przekluta. Na policzkach mych biel, plonie

ziemi płynącej dokoła, topol, jodeł i brzoż i wawozów o cieniach zastygłych.

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

Pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” ustanowiła coroczną nagrodę „Odrodzenia”. Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, w dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1.IX 1939 r. W ubiegłym roku nagrodę otrzymał Jarosław Iwaszkiewicz za książki: „Nowele włoskie” i „Nowa miłość”.

Skład jury i wysokość tegorocznej nagrody podamy w jednym z najbliższych numerów

WOJOWNICY NADZIEI

(Dokończenie ze str. 1)

my ich między pierwszymi chrześcijanami, ani wśród burżuazji w okresie jej rozkwitu ani u młodych mas socjalistycznych. Obok tych ostatnich należy zanotować, powstanie silnego prądu we współczesnej myśli katolickiej, który ma na celu przeciwstawienie się ponurym prorokizmowi, napiętnowanemu powyżej. Wracają do głosu, szczególnie we Francji, pierwsi Ojcowie Kościoła, ich tryumfalna wizja człowieka, ich szlachetne rozumienie historii, przypominają się parabole o Królestwie Bożym, które wzrasta powoli między nami, a to już wyklucza, aby ten świat miał być sprawą przegranej i pograżać się w upadku. Przytłumiony optymizm, mu kosmicznego i historycznego przenika liczne prace teologów. Jeżeli chrześcijaństwo pójdą za nimi i nie ulegną romantycznej pokusie katakumb, ani ociągania się w wypełnieniu swego ludzkiego postanowienia wielkie jutro stoi przed sprzyśnięciem nadziei.

Emmanuel Mounnier
przełożyła Anna Bartling

Ksawery Pruszyński

HENRYK KOROTYŃSKI

Język prasy na cenzurowanym

gdzie sobie ulicą Włodzina czy Kutna obywateli, mijają ogródki, które zbudowali przetrwali w murach, prowadzący do jednego z tych ogródków czyta zrucający się w oczy napis: „Uwaga! Zgrzyliwy pies!”

Obywatel śmieje się do rozpuku z tego istotnie zabawnej błędnej wiadomości, ale to jest błąd, bo zawsze widział na ostrzegawczych napisach słowa „zły pies”, a „zgrzyliwy” — powiada sobie — mogą być czyste „uwagi”, albo czyste „usposobienie”, ale psa, który gryzie, nie nazywamy w języku polskim „zgrzyliwym”.

Obywatel jednak nie tylko spaceruje po mieście, ale również czyta gazetę A w gazetach nie znajdując co prawda „zgrzyliwych psów”, natomiast wpadają mu w oczy i zostają w pamięci tysiące wyrazów, zwrotów, zdań, które urągają własnie „zgrzyliwie”, zasa, dom dobrej polszczyzny. Obywatela, jeżeli dobrze nauczył się polskiego w szkole średniej, raża początkowo te błędy językowe, ten paskudny żargon dziennikarski ale z czasem — już przywykli, już sam zaczął na tę modłę mówić i pisać, bo tak przecież „stoi w gaźnicy”.

A czegoż nie ma w naszej kochanej prasie i w tej codziennej, i tej tygodniowej!

Co zdanie to „cały szereg”, „wyczyn”, „zaaresztowany”, „nastawienie”, „odcinki pracy”, „wymogi”, „podejścia”, „stuletnie rocznice”, „akcje”.

Już prawie nikt nie pisze, że „powstała nowa sytuacja”, lecz „sytuacja zaistniała”; poseł nie zadaje „pytań”, lecz „zapytania”. Gdy na kandydaturę obywatela X padły wszystkie głosy na zebraniu prasa pisze, że wybrano go „jednogłośnie”, bo słowo „jednogłośnie” przestało istnieć w gazetach. Myślenie może, że Charlie Chaplin przybędzie do Wielkiej Brytanii? Nie, „Charlie Chaplin przybędzie na teren Wielkiej Brytanii”. Sądzić może, że w marcu było w Warszawie mało pożarów? Nie, „w miesiącu marcu było na terenie Warszawy mało pożarów”.

Gdy przyjechała do Polski rumuńska delegacja rządowa z premierem Groza na czele, byłym przekonany, że nasi goście z Bukaresztu odbędą albo przeprowadzą rozmowy z rządem Rzeczypospolitej. Nic podobnego! Polska Agencja Prasowa z dn. 28 lutego r.b. podaje, a za nią niemal wszystkie dzienniki warszawskie, że „w trakcie rozmów, jakie miały miejsce z rządem Rzeczypospolitej”.

Teraz już nic się nie „zdarza” i nie „odbędzie”, lecz wszystko „ma miejsce”, nawet fakty (ciekawy fakt miał również miejsce w Loriani) — pisze znany dziennikarz sportowy, który niekiedy zajmuje się wydarzeniami minionej wojny). Już się nie „strzela”, ani nie „daje strzału”, lecz „oddaje” (komu?) Ba, nawet się nie „skacze”, lecz „oddaje skoki”, jak o tym świadczył „Przełąd Sportowy” z dn. 5 lutego r.b.: Stanisław Maruszak oddał parę ładnych, lecz ostrożnych skoków”. Komuż, do diabła, Staszek oddał swoje skoki? Jest to zapewne słodka tajemnica twórcy tego pięknego zdania.

Zapomniano w naszej prasie o istnieniu słów „kilka, kilku” i „wiele, wielu”, które to liczebniki

zastępuje teraz słowo „szereg” lub „cały szereg”. W „Tygodniku Powszechnym” (nr. 153, z dn. 22 lutego r.b.) czytamy o liście „który zawiera cały szereg słusznych myśli”, a „Głos Ludu” (nr. z 10.IV. r.b.) twierdzi, że rząd włoski „przyjął szereg dekretów”. „Odrodzenie” (nr. 15 z r.b.) w notatce, prostującej błędy, popelnia kilka nowych: „W numerze świątecznym „Odrodzenia” zakradło się szereg błędów”. Po pierwsze — „zakradło się do numeru” — po drugie, pocóż mi, sekretarki „Odrodzenia” odbierają temu nieszczęsnemu „szeregowi” jego męskość? Jeżeli już szereg to „zakradł się”. To samo zresztą czyni „Wieź”, który w nr. z dn. 21 kwietnia r.b. informuje: „W aferze pośredniczyło szereg osób”.

Ow „szereg”, a zwłaszcza ten bezsensowny „cały szereg” jest to wyarty, wysłowiony frazes dziennikarski, który już dawno przestał być metaforą, zdolną wywołać obraz szeregu. Używa się tego słowa wszędzie, doprowadzając do absurdów. Czy możemy bowiem wyobrazić sobie „szereg myśli” albo „szereg dekretów”?

Brak kontroli nad tym, czy metafora jest wyobraźnia i logiczna, doprowadza do wręcz już humorystycznych efektów. Wyczytałam np. — nie pomnę gdzie — że przy rozdziale byłda „gmina Zielonka otrzymała lwia część krów”, a w „Dzienniku Polskim” (cytuje za prof. Doroszewskim) autor znalazł się w takiej niewoli frazesu, że napisał: „Zwycięska stopa żołnierza polskiego obok szfandary sojusznicych zatknęła naszą chorągiew na trupach pobitych wrogów na Bramie Brandenburskiej”.

Czynnie innym, niż frazesem językowym bez pokrycia są te wszystkie „prace w kierunku odbudowy”, „posunięcia pod kątem samowystarczalności”, „zadania na odcinku wsi”? W jednym tylko artykule gospodarczym w „Robotniku” (nr. 99 z dn. 11.IV. r.b. na str. 5) znajdują oprócz „szeregu względów” aż trzy „odcinki”: „Osiągnieliśmy na tym odcinku (mowa o rybołóstwie morskim — przyp. mój) poważne rezultaty... „Plany rozwojowe na tym odcinku...” (mowa o flocie handlowej — przyp. mój). „Osiągnięte rezultaty — czy to na odcinku rolnictwa czy przemysłu...”

Odrębna cecha żargonu dziennikarskiego stanowi nadużywanie t.j. używanie bez uzasadnionej potrzeby — wyrazów obcych. Jak wiadomo weszły do języka polskiego i nawet go wzbogaciły liczne wyrazy, pochodzące z obcych języków — wyrazy, określające pojęcia, dla których brak słów rodzimych.

Ala dla czego, mając polskie wyrazy „prostować” i „zaprzeczać”? Piszemy tak często „dementować”? Dlaczego zamiast „zmarły”, wprowadzamy na nasze łamy „denata”? Albo te paskudne, najczęstsze spotykane słowa obcego chowu: „sfingowana wiadomość” (zmyślona), „dewastować” (niszczyć), „zdezelować” (zepsuć), „lansować” (rozpowszechnić), „wprowadzać”.

Szczególnie żaźne jest używanie słowa „zlikwidować” w znaczeniu „rozbić, zabić, aresztować” np. „Trzech bojowców zlikwidowali Niemcy”,

Ostatnio za pośrednictwem na-

szego MSZ gwałtem wdziera się do języka polskiego najzupełniej niepotrzebne słowo „priorytet”, które oznacza to samo, co nasze „pierwszeństwo” (np. „Kraje, zniszczone przez Niemcy, powinny mieć priorytet w odbudowie”).

Nadużywanie obcych słów cechuje jak to powszechnie wiadomo, również naszą prasę literacką i stanowi jedną z przeszkód w jej szerokim rozpowszechnieniu.

Nasz język dziennikarski zaśmiecają nie tylko wysłowione frazesy i niepotrzebne wyrazy obce. Roj się w prasie od pospolitych błędów językowych, wynikających — coż? trzeba to wreszcie wyraźnie powiedzieć — z niedostatecznej znajomości języka polskiego. Przykłady? Jest ich, niestety, aż za dużo, ale, że nie piszę słownika), lecz artykuł — więc tylko o niektórych, najczęstszych spotykanych błędach będzie tu mowa.

Jeżeli to razy dowiadujemy się z prasy o „najpierwszym” transporcie albo o „najpierwszej”, zniżyć, że to niby ten „najpierwszy” czy „najpierwsza” mają być „pierwszi” od innego „pierwszego”. I

*) Słownik polskich błędów językowych, opracowany przez prof. dra Słońskogo.

ZWIĄZEK KOMPONENTÓW POLSKICH

OGŁASZA
KRAJOWY OTWARTY
KONKURS KOMPONENTOWSKI

na utwór o charakterze popularnym, oparty na tematyce polskiej, na zespół typu świetlicowego.

W konkursie mogą brać udział wszyscy obywatele R. P.

NAGRODY: I. — 100.000 zł.
II. — 30.000 zł.
III. — 60.000 zł.

WARUNKI KONKURSU:

- czas trwania utworu od 8 do 15 minut.
- zespół „odeonowski” (fl., ob., 2 klarnety, fagot, waltornia, trąbka, puzon, perkusja, piano conductor, kinfet smyczkowy).
- forma: marsz, wiażanka, suita, tańce, uvertura, rondo, symfonia itp.
- termin nadsyłania: do 1 września 1948 r. (rozstrzyga data stempla pocztowego).

Skład jury zostanie ogłoszony w czasopiśmie „Ruch Muzyczny”.
Utwory opatrzone godłem należy nadsyłać pod adresem Związku Kompozytorów Polskich, Warszawa, ul. Młodzieży Jugosłowiańskiej 2. W zaklejonej kopercie, opatrzonej tym samym godłem, należy podać imię i nazwisko oraz dokładny adres kompozytora.

W poprzednim 18(179) numerze „Odrodzenia” z dnia 2 maja 1948 r.: Bohdan Czesko; Synowie. — Paweł Antokolski; Do inteligenta polskiego. — Rafał Alberti; Upiór kraży po Europie. — Czesław Miłosz; Pablo Neruda (Przekłady). — Tadeusz Brzecz; Owce źródło. — Effeni Kapijew; Powołanie poety. — jmw.; W obronie poety Pablo Nerudy. — Pisarzy polscy wobec ruchu robotniczego. — Wojciech Żukowski; Ręka ojca. — Tadeusz Kubiak; Marta natura. — Tymoteusz Karpowicz; Młoda krawczylna. — Nagrody i wydarzenia literackie. — Artur Marya Świrski; Recenzje teatralne. — Zyg-

mund Mycielski; Wydawnictwa muzyczne. — Jerzy Płażewski; Film: (Rodzina Froment; Bitwa o szynę). — Książki: Beletrysytka („Świętokradca” Tadeusza Kudlińskiego). — Wertepi; Leopolda Buczewskiego; Przekłady („Rok 1793” Wiktora Hugo); Popularyzacja wiedzy („Przechadzki ateńskie” Władysława Witwickiego). — Jan Rokoniński; Literatura i ludzie. — Antoni Słonimski; Przepis na artystę. — Stanisław Szenic; Dwa barokowe widoki miast polskich. — Janusz Minkiewicz; Cztery kalambur literackie. — Camera obscura. — 14 ilustracji. — 8 stron.

że mogli się wziąć skoro mocno w niej tkwiła pamięć dopchniętej zasady.

Teklunia skuliła się za Włodzia. — Jakaście tu wleźli? Po co? Chcecie coś ukraść?

Dzieci milczały, przypatrywały jej się z nateżeniem.

Zwiesiła nogi, przelewała ciężkie ciało przez krawędź łóżka. Zawisła nad nimi biała zasa.

Jak was strzela, to zaraz przemieć! Dawać łapy!

Włodzio jak urzeczony wyciągnął przed siebie żałośnie zwisające końce rekawków.

Walercia zamariała z uniesioną ręką. Powoli opuściła dłoń na ciemną głowę chłopca, poglaskała go szorstko.

— No, głupie, idźcie spać... No, uciekajcie...
— Otwarla drzwi i wypchnęła je pośpiesznie w czarny korytarz. Teraz, przypomniały sobie o głowie, narzuciła gwałtownie chustkę i ściągnęła kołce pod brodą. Przez szparę nad progiem wiało. Odczekała chwilę, nie słyszała, żeby odbiegli.

Jeszcze raz uchyliła drzwi i zobaczyła dzieci stojące w świetle.

— Dlaczego nie zmykacie do siebie? — My się bardzo boimy. — zaczęła Teklunia — tam jest ciemno...

— A tu do mnie wleźć toście się nie bają?

— Myśmy tylko chcieli zobaczyć...

— Nie mów — tracił Włodzio. — Czekałszy na duszę!

Walercia przyciągnęła je ciepłymi rękami.

— Sierotki moje szepnęła — duszy u mnie szukają, pewnie, bo u kogóż jej szukać w tym domu? No, chodźcie, będziecie dziś spały z mną.

Rozebrała je i ułożyła przy sobie. Dzieci zleknie one ledwie odychały za barykadą jej ciała. Ale ciepło działało rozmarzająco, powoli przychodziło poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

— Nie śpisz jeszcze? — zapytał Włodzio.

— Nie mogę usnąć, bo jak z niej wyjdzie...

— Słuchaj, może to nie była dusza, bo ona rechaotała jak żaba... Może tyknęła ją z wodą? Opowiadają mi babka...

— Nie strasz mnie!

— Opowiadają o żabie co wychodziła na poduszki... Co ty i żaby się boisz?

— Zwycajęj to nie!

— No widzisz...

— Co tam mrużycie jak kocurzy — odedawała się sennie Walercia. — Przecznęgam mi się i spa!

Więc przecznęgał się posłusznie i przysiadł, skulił u jej boku, nawet nie zauważył kiedy spadł na nich mocny sen.

— Czego szukam tak o świetle — zapytywał się sędzia — co mnie nosi... Odpiał haki i otworzył drzwi wejściowe. — Wyjręj tylko przed dom — usprawiedliwiał się niecierpliwie ciekawością.

Podwórz było pełne niebieskiego cienia. Wyżej na szczycie Kula, na skale omiecionej ze śniegu trzepotały się gawrony, wrzeszczały wiosenniemi. Wyżej na białym niebie miotła czerwonym ogniem Wenus.

Zaraz za bramą spadał wysiłgazy jźjad w dolinę, na jej dnie Siniawka rysowała się pomiędzy zamkami czarnym zygazkiem.

Skręcił w podwórze, odruchowo sprawdził kłódkę na pustym chlewie. W stajni na szybkach zaszyły parą ściekały wielkie tzy.

— Ciekawym czy szczęśliwie dojechali? — szepnął, ale bez obawy, zbyt mocno ufał niemiecckim zewoleniom Łucji. Szedł pod górę w głąb parku zrosniętego z lasem zamkowym.

Za stogiem, spod którego prysnęły dwa zające, jeden za drugim i zakurzyły w sytkim śniegu, ścisła dołód doś doś wdeptana nienkę między świerkami, w gęstwie ciemnej, nieprzyjaznej.

— Dojść tylko do altanki, rzuce okiem i zaraz wracam — uspokoił się wewnątrz. Oddychał krótki-

mi lykami. Powietrze było twarde, pełne woni zamrznętego igliwia, zachęcało do szybkiego marszu.

Śnieg stał głębszy, niezamagony nawet tropem lisim, ale nie lgnął do mankietów spodni, pod cienką wierzchnią skorupką, był suchy jak piasek. Postanowił skrócić sobie drogę. Nie czuł chłodu, miejscami musiał stromo podchodzić. Tu, w górę, cisza była aż dźwięwno w uszach.

Odwrocił się. Pod nim dolina pełna niebieskawego cienia, wstające słońce tęczywo iskrzyło się na mgłę nadrzecznej. Zamek podobny do odwróconej dionki, zawisał nad drogą miejscami rudo znaczoną śladem końskiego nawozu. Pod mur obrony, ledwie widoczny spod śniegu, pięły się zjęcone świerczki. Żaden dym nie unosił się jeszcze w powietrze nasłoneczniające się przestrzenie.

— Dobrze jest żyć — dyszał rozgrzany, osiągnąwszy krawędź. Przez przesiekę między drzewami mógł popatrzyć na drugą stronę. Siadł na poręcz. Alterną była pełna odchodów zajęczych, rozsypanych garściami. Z karmnika porozwólczano kłaki siana.

Zaniepokoiły go dalekie dymy, ciężko rozlane na horyzoncie, pomazane rudawym obłaskiem. Bliżej były kępy olch, rozrzucone domki osady Dziadówki i z niejasnej gęstwy dachów wystrzelała wieża starego kościoła w Doboszowie.

Szerokie pofałdowane przesterzenie łak na Mokronosie, zwierciadliły się miejscami we wstających dopiero słońcu.

Z uczuciem zawodu patrzył na zimowy krajobraz. Nie było, prócz dalekiej ławicy dymu, żadnych gwałtownych zmian, których oczekiwał w wczorajszym ogniu armatnim.

Dopiero zaniepokoiły go głosy Niemców. Byli blisko, trochę pod nim, zastłonięci krzewami. Posyłał zaraz uderzenia siekier. Teraz zobaczył innych, na łąkach, ledwie dostrzegalnych w białych ochronnych skafandrach. Wiekli karabiny

maszynowe na sankach, maskowali stanowiska.

Jednak zepchnięto ich — pomyślał z ulgą. — Chyba nie będą się tu długo opierać?

Głosy poczęły się zbliżać. Nie było na co czekać. Gdyby go przypała, trudno by było mu tłumaczyć, że przyszedł się tylko rozzerzeć.

Zaczął więc szybko schodzić. Kierował się wyłącznie rozważą, wierzył jeszcze w magiczne brzmienie słowa — gutbezitzer. Spadek niósł go lekko.

W pierwszym świetle, które sięgało syczytu Kulaka, wrony opędały się od parły jastrzębi. Krażyły one lekko, ciężły sierpem skrzydeł chłodne powietrze. Czasami zach-

piero rodzi się, więc jakże można wiedzieć kto? Dobrze, że choć wjeżdżał po co się tam wspinałem — obejmiał się niemal z czułością na strumą ścianę doliny — chciałem dojrzeć przyszłość, choćby najbliższą...

Walercia zbudziła się wcześniej. Długo nie chciała jeź się ruszyć. Wreszcie wygrzebała się spod pierzyny, spostrzegła spluwając od uroku że właśnie lewą nogą zaczynała dzień.

Podniosła zasłonę. Szarzało Koguty piał jeden przez drugiego, na zmianę. Puszysty różowy blask stał nad lasem.

Kot był już przy drzwiach, gwał niespokojnie koniec zadartego ogona.

Spijcie jeszcze aniotecki — szepnęła, nachylając się nad dziećmi. — Czas jeszcze, czas...

Ubrana, nalała wody do miednicy i prychając, mokrymi rękami przetarła sobie twarz.

Potem wyciągnęła z kieszeni fartucha różaniec i zaczęła mruczeć. Luna na niebie była ledwie widoczna, ale świtało w innym miejscu. Chwycił ją strach.

— Jezu! Jezu — szepnęła — wiołki się pala!

Stała przy oknie, z ziarnami różnacza precyzyjnymi do warg.

Kot miauknął, ostrzył sobie pazury o framugę. Otworzyła drzwi. Stękając, zarzuciła tobał na plecy.

Na korytarzu był chłód nocny, zmętniałe powietrze spało jeszcze. Poruszała się prawie bezszelestnie. Od wąskich okien dymiło zbileta światło wstającego dnia.

Zeszedłszy na dół, zdziwiła się, że ktoś przed nią wstał, bo drzwi na dwór były otwarte. Przykucając, odemknęła ciężkie drzwi do piwnicy. Buchnęło wilgotnąwoną wonią starych kamieni. Zawiedziony kot, który cały czas łudził się, że zmierzają do kuchni, zakreślił się na najwyższym stopniu, ale nie zeszedł niżej.

Walercia sunęła ramieniem po ścianie, ostrożnie macała opuchły-

o „za darmo” (darmo), o „rozbudowie muzyki” (rozwoju muzyki), ani o tym, że nie należy mieszać przestrzeni z czasem („na przestrzeni trzech lat” API z 15.III. r.b.), ani że słowa „dzięki” powinno się używać z zastanowieniem („wyraził tego nie można, czym było Birkenau dzięki takim jak Weber” — pisze Szmaglewska w numerze „Biuletynowym „Przekroju” o jednym z katów obozowych i wyraża mu mimowoli — podziękowanie).

Sądzę że przykładów już dość, aby można z nich było wyciągnąć wnioski.

Żle jest z poprawnością i czystością języka polskiego w naszej prasie. W okresie międzywojennym też nie było dobrze i wówczas również język dziennikarski zaczął nabierać brzydkich cech żargonu, ale — jak sądzę — sytuacja obecna jest jeszcze gorsza. Dłaczego? Niektóre przyczyny łatwo ustalić. Wojna i okupacja wderwały setek tysięcy ludzi po obcych krajach, zwłaszcza po Niemczech i po obozach koncentracyjnych — to są czynnicy, które musiały się oddziaływać na język i społeczeństwa polskiego i pracowników pióra. Wobec szczególnie dotkliwych strat w ludziach i szybkości zaraz po wojnie rozwoju prasy, trzeba było pośpiesznie wypelnić luki elementem „ostatniecznie” wykształconym w ogóle, pod względem językowym w szczególności.

Ogrom trudności, które miały do pokonania odbudowująca się prasa, odsunął na dalszy plan troskę o dobry język polski. Dziś już czas, by się tym zająć. Sprawa jest ważna nie tylko z punktu widzenia zawodowego, nie tylko dlatego że nie może być dobrym dziennikarzem ten, kto nie umie wiaść nienagannie podstawowym narzędziem swej pracy — językiem.

Doniosłość zagadnienia polega na tym, że właśnie dzienniki, które dziś osiąga ją już milionowe nakłady, kształtują polszczyznę społeczeństwa. Zarzycują twierdzenie, że prasa w tym samym stopniu, co szkoła, decyduje o tym, czy język polski tysięcy i tysiące obywateli jest zły czy dobry. Dopuszczając do panoszenia się błędów w naszej prasie, psujemy również język tych, którzy nim do brze władali, bo choroba ta jest wręcz epidemiczna.

Związek Zawodowy Dziennikarzy R.P., który zorganizował już kursy dokształcające dla młodych pracowników prasy, dużą wagę przywiązuje do wykładów i ćwiczeń poświęconych językowi polskiemu, a w przyszłym zreformowanym szkolnictwie dziennikarskim przedmiot ten będzie zajmował poczesne miejsce.

Prof. dr Witold Doroszewski, jeden z najwybitniejszych znawców przedmiotu, ma właśnie wykłady na wspomnianych wyżej kursach.

Niezależnie od tych zorganizowanych przedsięwzięć pedagogicznych czas już, aby ras wszystkich dziennikarzy przeniknęła większa niż dotychczas troska o dobrą polszczyznę w prasie.

Wszystkich — bo nikt z nas nie jest tu bez winy.

Henryk Korotyński



dzili w cień, niemal nikły, to znów zapalały się brązem. Kilka wron zapraczonych, rzućło się za nim w pościg machało pośpiesznie skrzydłami, chrypiło od krakania.

— Dzisiaj z wami zęgam — szepnął z ulgą — dziś ginie sędzia Nahorayski, a rodzi się... — Uśmiechnął się ironicznie — skoro do-

(Dalszy ciąg nastąpi)

ANNA KOWALSKA

Z opowiadań greckich

W D O W A

W szczelnie między świątynką Niki a Partenonem znalazłam szczerbę wazy: na kremowej glinie malowały się czerwono-brunatne fałdy chitonu i profil uśmiechniętej twarzy o wielkim oku. Wpatrywałam się chciwie, jakby coś niezwykłego można było tam jeszcze dostrzec, ale żadnego napisu nie było, tylko u brzegu gałązka drobnotłusta. Wrzuciłam ją do wody, ale i to, że znalazłam go właśnie tutaj, gdzie



nieznużenie przychodzili ludzie wszystkich krajów, we wszystkie dni roku, od tak dawna.

Podniosłam oczy z nad dłoni i zobaczyłam panią w długim, czarnym szatach i w żalobnym welonie siedzącą pod kolumną. Raz po raz pochylała się nad książką, po czym podnosiła głowę do góry, wyginając szyję, podobną do ptaka, gdy pije wodę. Modliła się półgłosem, monotonnie powtarzając respons litanii. Dziwne miejsce na modlitwę, ale nieznaną mi obecność zwiedzających, ani palące słońce nie zdawały się przeszkadzać.

Kiedy po długiej wizycie w muzeum przechodziłam znowu koło Partenonu z uśmiechem Kor w oczach pamięci, spostrzegłam nieznaną na tym samym miejscu, szepczącą i pijącą słowa swoich modlitw. Ale wiedząc była już trochę zmęczona, bo coraz dłużej patrzyła przed siebie na daleko, hen w dole rozciągnięte Ateny różowe o tej porze i świetliste. Wreszcie czołżyła książkę i oparła twarz na dłoni. Po tym ruchu dopiero poznałam w nieznaną panią Laurę. I nie wiem, co bardziej mnie zdumiało, czy sama jej tutaj obecność, czy zniknięcie twarzy, czy też zaniedbanie i dziwaczność stroju. Spojrzę na jej bolesne, to obrażone przeniosło się z dalekiego horyzontu na mnie.

— Wie pani, mąż mi umarł — powiedziała z trudem jakby wstydząc się tej śmierci.

Laura Niedarżyczka, mój Boże! — To jest Laura Niedarżyczka! Ta świetna elegancja iskrcząca się dowcipem, zachwale pewna siebie i śwata stworzonego dla jej uciechy i kapryśność, siedziała oto przede mną jak żebraćka na wpół obłąkana w obcym mieście, na stopniach umarłej świątyni.

Famiętam moją ostatnią bytność u niej. Niedarżycy urządzili wielkie przyjęcie, pierwsze w nowym swoim domu był to dzień jej imienin, a on otrzymał wtedy jakieś wielkie odznaczenie. W tym sezonie w Faryzu wielkie domy mody wprowadziły kolor biały i Laura wkomponowała siebie w całość swego salonu, obmyślaną, jako grę lśniących i matowych bieli. Fotele były kryte białym atlasem, lśniącym jak obtopniali śnieg, piękne białe kamelie po staroświecku wypełniały żardinierę matową, cichą bielą żyrandol starej weneckiej roboty drżał od blasków migotów, jak o, szroniony szczyt drzewa w słońcu. Sama pani Laura chłodna jak kamelia wystąpiła w białej koronkowej sukni. Bił od niej jakiś szorstki urok i mimo modnych paryskich smaków pierwotna, trochę dzika radość i naiwna ostentacja.

— Kocio tak panią lubił — westchnęła odgarniając kosmyki siwych włosów z czoła.

Ucisnęłam ją za rękę nie mogąc się zdobyć na żadne słowo, bo wiedziałam że Konstanty Niedarżycy był mi zawsze niechętny i niezyczliwy.

— Tak! wspaniały człowiek — westchnęła kiwając żalobnie głową — taki piękny człowiek!

Stanął mi przed oczyma taki, jakim go zapamiętałam z pierwszych lat studiów, oświetlający zachwyceniem pomysłami naukowymi i świetną argumentacją. Podziwiałem jego wartką, elegancką wymowę i niezawodną pamięć. Do uczniów odnosił się z serdeczną koleżeńską, kochaliśmy się w nim wszyscy porwani jego namietnością do nauki i zapałem Układał z nami plany wyjazdu do Grecji, już, już mieliśmy jechać, kiedy zaczęto mówić, że Niedarżycy zażądał się na zabój w Rosjance, córce generała carskiego i że się żeni. Jakoż coraz częściej odwoływał wykłady a nawet seminaria. Gdybyśmy go widzieli, nie śmielibyśmy nawet wspomnieć o wspólnej podróży. Wreszcie wziął urlop i wyjechał z żoną.

Gdy wrócił, był to już inny człowiek. Młodzi koledzy nawet nam wierzyć nie chcieli o jego dawnej naukowej świetności. A potem, potem był już ciężki, zwalający olbrzym o dobrotliwej niby, a chy-

trej w istocie twarzy, skarżący się na zaszczyt, o które, jak wiedzieliśmy, drapieżnie zabiegał. Potrafił każdego sobie zjednać, zręcznym, delikatnym pochlebstwem szepłanym poufnym tonem zwierzania. Nawet gdy się znalazło jego bezwzględność w postępowaniu, próżność i snobizm zapomniało się o tym, gdy tak patrzył bezradnie i serdecznie wielkimi, brązowymi oczami łagodnego psa; sam dźwięk jego głosu uwoził, pieścił, ciemny, aksamiłny. Porzucił był naukę dla synekury i reprezentacji. Z dawnego zamiłowania została mu miłość do książki, gromadził je ze znanstwem — czytać nie miał czasu.

Do kolegów uniwersyteckich odnosił się z pobłażliwą pogardą i rzadko kogo z nich zapraszał, chyba mających i utytułowanych. Łatwiej jest bogatemu przejść przez ucho igielne niż archeologowi klasycznemu stać się zamożnym. Niedarżycy dokonał tego. Żonę kochał miłością drapieżną i zazdrośną i poświęcił jej cały wysiłek życia. Aby bawić, zachwycać i związać ze sobą tę śliczną i pustą istotę, gotów był do wszelkiej ofiary, pierwszą, jaką uczynił była rezygnacja z pracy naukowej.

— Wie pani co ja tu robię? Uczę się słówek greckich!

Ach, więc nie litanie odmawiała, ale uczyła się słówek; nie wiem co z dwu rzeczy było dziwniejsze.

Usiadłam przy niej na stopniu, tyle, że w cieniu.

— Od dwu lat się uczę, od czasu jak Kocio umarł. Chcę poznać to, co on kochał. Czytał nawet Homera ale dopiero czwartą pieśń. Po ślubie Kocio przywiózł mnie tu. O, na tym miejscu siedzieliśmy. A on ślicznie mi tłumaczył, z jakiego czasu te budowle i kto je wznosił i jak to wyglądało w różnych epokach i dlaczego to piękne. Pani wie, jak on ślicznie mówił. Ja słuchałam i słuchałam, ale tylko jego głosu, bo słowa mnie nudziły, wolałabym, aby co innego mówił, o mnie samej, a nie wciąż o starożytności, bo to tak jakbym niepotrzebnie się urodziła. No i rozplakałam się w końcu, a on się przestraszył mego płaczu. Nie wiedział, jaka ja głupia i że chciałam jechać do Paryża, na Riwierę. Plakałam, a on wciąż pytał. Wreszcie się przeklął, że może ja coś przed nim zatajałam i kogoś żałowałałam. Więc musiałam mu wyznać, że mnie nudzi Perykles i Fidiasz i że ja do Paryża chciałam. I wie Pani, żeśmy jeszcze tego samego dnia wyjechali! A w Paryżu, to nawet jak ja chciałam iść do jakiegoś muzeum, to on mnie prowadził do jubilerki, do kabaretu, do teatru. Ach! szaleliśmy. No cóż, miałam siedemnaście lat. Złżyłyśmy ze sobą dwadzieścia trzy lata, a nigdy przy mnie nawet nie wspominał nad czym pracuje, a ja go nie pytałam. Wystarczyło mi, że go wszyscy chwaliła, że nam się dobrze wiodło. Raz tylko, gdy był kongres w Atenach i zastanawiałam się, czyby się z Kociem nie wybrać, to jakoś dziwnie stanowczo powiedział, że nie, i że mam sama jechać do Faryza.

Jak Kocio umarł, wszystko od razu zrozumiałam i samej sobie nie mogłam się nadziwić, skąd tyle we mnie głupoty i samolubstwa się wzięło. Tak ja i prawosławna religia zrucałam i stałam się dobrą katoliczką, bo Kocio taki był surowy w sprawach religii i nad książ-



kami śleczę — płaśniała ręką w okładkę książki. — Nie ma chyba nic trudniejszego od greckiego języka.

W całej jej postaci była jakaś kruchość żalosa, jak u człowieka, który dopiero niedawno pojął, że jest istotą śmiertelną. Ręce jej i szyja bez pereł i diamentów, pokryte piegami zwiotczałe i biedne, tak niepodobne były do dawnej pysznej piękności, że zasmuciłam się.

Pszczółka zabłąkana może aż z gór Hymetu, uderzyła w locie o kolumnę jak oszalały wiezień.

Pani Laura skarżyła się cichym zdziwionym głosem — ... i style wszystkie poznałam i ruiny poznałam. I tak sobie ciągle myślę, czy też tam mój Kocio patrzył na to z nieba i czy się cieszy, czy rad?..

Wiotka trawka wyrastająca żdziebkiem w szparze między blokami marmuru ugięła się pod mrowką. — A pani się to wszystko naprawdę podoba? — nagliła szukając moich oczu — czy też pani tak tylko dla towarzystwa jeździ?

Anna Kowalska
rysunki M. Hiszpańskiej

Rozmowa z Wacławem Rzezacem

Przeczytałem „Krawędź”. Wrażenia z lektury są i bardzo bezpośrednio i bardzo świeże. Świeże dlatego, że skończyłem czytać przed kilku dniami, bezpośrednio, bo mieszkam na Śmichowie, na tym przedmieściu Pragi gdzie zaczyna się akcja powieści.

Życie na Śmichowie ma swoje specyficzne cechy, ma swoją właściwą atmosferę mieszczańską, swoje smutki i uśmiechy. Spokojna, monotonna, senna nawet jest codzienność Śmichowa. Ale w tej codzienności dzieje się i to na pewno dużo.

Mnie osobiście powieść Rzezacza pokazała ludzi, których mijam dzień w dzień na ulicach Śmichowa, wychodząc z domu czy wracając do domu.

Rzezacz mówi, że w gromadzie mijanych na Śmichowie, przedko, dniów można spotkać i Austa i Jarde i Adę. Kto wie czy ta starsza Pani którą minąłem, idąc na spotkanie z Rzezacem, nie jest właśnie panią Paszkową...

Pomimo to, obawiałem się, że rozmowa z Rzezacem może wpłynąć na mój raczej już ustalony sąd i wrażenie z lektury „Krawędzi”.

Co może interesować czytelnika, który spotyka się „oko w oko” z autorem książki? Przede wszystkim chyba plotki.

— Austa spotkałem podczas mojej dwudziestoletniej pracy biurowej w Urzędzie Statystycznym — mówi Rzezac. — Po mnie nie odziedziczył on żadnych cech biograficznych. Choćby ten fakt, że był do czterdziestu kilku lat samotny. Ja ożeniłem się mając bodajże 22 lata, ale to już sprawy osobiste. Cóż może mnie łączyć z Austem? Może to, że piszę z trudem, że przeszedłem przez te same trudne doświadczenia człowieka, który chce, który musi coś stworzyć, coś po sobie zostawić...

— Czy w tym ostatnim zdaniu nie kryje się geniza „Krawędzi”?

— Pewnie — odpowiada Rzezac — niech pan pomyśli, Aust czy Haba są ludźmi, którzy znaleźli się właśnie na krawędzi. Ileż to ludzi staje nagle pewnego dnia przed problemem: dokonać czegoś, stworzyć coś, przed problemem zmarnowania czy też wypełnienia życia czymś, co się po sobie zostawi.

— A z rzędu plotek, jeśli pan pozwoli, czy model Austa, dokonał czegoś?

— Myślę, że nie przestała, o „Odrodzeniu” tego co o nim powiem.

Notatnik muzyczny

XXVIII koncert symfoniczny

Wystarczyło zamknąć oczy, a zjawiał się w myśli obraz dawnej Filharmonii, z jej światłami i podejrzaną malaturą na sklepieniu — (pamiętam specjalnie Apolinarę Kątską, ile razy spojrzęłam ku górze) — to Zbigniew Drzewiecki gra koncert F—moll Chopina. Hej — lży się kręca, nie się nie zmieniło — owsem, zamiast Kątskiego straszą ze ścian okropne rządy infułatych biskupów, (kto rzeźbił — na Boga, te kryminalne plaskorzeźby w „Romie(?)” a mł-dzień dalej kształci swój smak i wrażliwość muzyczną na koncertach Chopina. Niebezpieczny jest czar tych koncertów: ludzie biorą w nich za istotę Chopina to co w nich mglistego — ich marzytelność i romantyczną melancholijność. To wszystko znajduje się w dużych ilościach w koncertach Chopina i dlatego lubię podkreślać zdrowy klasycyzm plan harmonii preludej i nie kończącego się wprost bogactwa zdyscyplinowanej fantazji, którą jest zbiór mazurków.

Koncerty Chopina są jakby generalną próbą mistrza, mocującego się z nawpół symfoniczną formą i dlatego kto wie, czy w wielu umysłach nie pozostała u nas jakiś specjalny piedestał dla tych dwóch koncertów, stawiących je na osobnym cokole. Lecz trudno, sentyment i tradycja mają swoje prawa, pięknie jest hodować je w Warszawie, która zna — jak żadne inne miasto na świecie — swoje koncerty Chopina. Drzewiecki zna też — jak mało



Wacław Rzezac

Wydał dwa tomiki okropnych pozycji. I to własnym kosztem. Prócz tego nie napisał nic i — chyba nie już nie napisze. Jakkolwiek zna wspaniałe techniki pisania i rzeczywiste ma pełne biurko, czy pełną walizkę, niedokończonych rękopisów, tak jak Aust...

— A Haba?

— Urodziłem się — mówi Rzezac — na Starym Mieście. Nigdy zresztą nie mieszkałem poza Pragę. Stare Miasto. Ulica Haszalska. Od świętego Haszala. Dotąd nie wiem, co to za dziwny święty. Dom „u Krzyżu”. Nie ma już tego domu. Na przeciw klasztor świętej Agnieszki. Uliczka Rzasnowka. Niedaleko jest plac św. Wojciecha. — Mieszkając już na Ferdinandce (obecna Narodni trzida) chodziłem do szkoły św. Wojciecha. Naprzeciw szkoły była żeńska akademii handlowa rodziny Hlaváčová. — Stąd pierwszy rozdział „Krawędzi”. Na Ferdinandce mieszkałem w domu narodziłym naprzeciw Narodnego Divadla Tam zobaczyłem Habę. Sam Haba jest po-

stacją niereczywisty (zresztą, która z postaci powieści jest w ogóle rzeczywista? — plotkujemy prozę pana, p l o t k u j e m y). Może Haba ma coś z Edwarda Vojana? — Vojan to był największy aktor czeski. Zmarł już dawno w r. 1922.

— A reżyser?

— To całkowiwy wytwór fantazji. Może gdzieś, jakieś, wspólne cechy. Moi czytelnicy tutaj dopatrywali się aluzji. Mogę pana zapewnić: — sam słabo sobie zdaję sprawę z tego, kim był, czy kim jest reżyser. To mało ważne. Właściwie najchętniej nie rozmawiałbym o tym, kto, co, jak. Książka jest książką a życie jest życiem. Inna rzecz to pytanie, jak bardzo pisarzowi udaje się „podrabić”, naśladować czy fałszować rzeczywistość...

— Powiedział pan, jako autor „Krawędzi” skąd pochodzi tytuł tej książki. Równocześnie zastrzegł się pan, że książka, o której mówimy nie ma cech autobiograficznych?

— Tak o ile każda książka nie jest autobiografią przeżyć wewnętrznych tego, kto ją pisze, kto tworzy. „Krawędź” jest dekonspiracją procesu tworzenia się dzieła w pewnym ograniczonym zakresie. Chciałbym, żeby czytelnicy zwrócili uwagę na scenę pijacką w „Krawędzi”. — Zresztą, trzeba w ogóle zwrócić uwagę w „Krawędzi” na te momenty, gdzie postaci tworzone przez mnie polemizują ze mną, krytykują mnie — i zaraz prawie na następnych stronach rozwija się ciąg dalszy koncepcji, rodzi się nowy wątek, czy dalszy ciąg wątku poprzedniego. Autobiografia w „Krawędzi” — to przede wszystkim własne, długie doświadczenia twórcze, własne paranie się z trudnościami, jakie ma przed sobą każdy, kto tworzy.

— Co pana naprowadziło bezpośrednio na myśl zdekonspirowania warsztatu pracy pisarskiej?

— Może fakt że koncepcja „Krawędzi” powstała w miarę pisania tej książki? Z własnych doświadczeń wiem jedno, książka dojrzewa we mnie z chwilą, gdy widzę cel jej powstania.

— Czy długo pan pisał „Krawędź”?

— Dojrzała dwa lata. Pisałem około 11 miesięcy. Teraz już 4 lata nie piszę. Może zabiorę się na jesieni do powieści o naszej czechosłowackiej drodze do socjalizmu. Jestem komunistą, mam obowiązki wobec społeczeństwa. Chcę wziąć się do spraw z czasów okupacji. Nie wiem jeszcze, czy dotknę tych spraw bezpośrednio, czy pośrednio, przenosząc akcję na dziś.

— Jeśli można wrócić jeszcze do tajników pana warsztatu pracy. — Mówił pan o trudnym piśmie...

— Tak. Moją pierwszą książkę „Wietrzna siejba” pisałem 2 lata. „Ślepa uliczka” 3 lata. Pierwszy

rekopis spaliłem, nie zostawiając ani jednej notatki. Pisałem potem od nowa Najkrócej bodajże trwała praca nad „Czarnym światłem”. Zresztą pierwsze dwadzieścia lat mojej pracy nie były łatwe. Od pół do siódmej do pół do trzeciej „urzędniczenie”. O czwartej po południu siadałem do pisania. Szedłem spać koło północy. Tak było długie, długie lata. — I właściwie dopiero dzięki temu, że książki moje zaczęły wychodzić w klubie książki. — Właściwie dopiero dlatego odsapnąłem. Nakład i Knižovni Lidovych Novin dochodził już przed wojną do 35 000 egzemplarzy.

— Wybaczy pan jeszcze. Ktoś się pytał czemu kobiety w pańskich powieściach są silniejsze i bardziej „prostolinijne”? — Czy to manifestacja pańskich poglądów na świat?

— O tyle o ile. Byłem u was w Polsce. I obserwowałem to, co u nas w Czechosłowacji zaczęło się wcześniej. Kobiety w bardzo wielu wypadkach okazują się prostsze i mniej skomplikowane niż my. A w każdym razie są bardziej niż my zaradne życiowo. — Na wybrzeżu, dokąd pojedę w tym roku, na Śląsku czy w Warszawie, widziałem dziesiątki kobiet, które straciły wszystko, zostały same, a przecież nie zalały rąk. Pracują, utrzymując siebie i dzieci. Dają sobie radę z życiem. — Piękny temat dla waszych pisarzy. — U nas w Czechosłowacji wystarczy rozejrzeć się w życiu społecznym, czy politycznym. Proszę sprawdzić ile kobiet jest tu na bardzo wysokich, bardzo decydujących stanowiskach. Czy zwrócił pan uwagę, że dotychczasowy układ sił w świecie, to rozłożenie pracy na barki mężczyzn i kobiet — zaczyna ulegać bardzo stanowczym zmianom?

— A nie porozmawiałby pan jako autor „Krawędzi” na ten i na inne tematy z czytelnikami w Polsce?

— Będę w lecie nad Bałtykiem. Międzyzdroje, albo Ustka. Najchętniej zasybył się gdzieś w jakąś myślną dziurę, żeby odpocząć. Film, w którym pracuję, meczy. Chcę znowu pisać, przygotować się do pisania. Jadąc nad morze zatrzymam się w Warszawie. Wtedy rzeczywiście można by pomyśleć o wieczorne dyskusyjnym w Klubie Książki. U nas Kluby Książki mają starą tradycję i odegrały olbrzymią rolę. Zresztą uważam, że żadna lektura, żadna obserwacja przez okienko, nie daje autorowi tyle, co bezpośrednio rozmowa z czytelnikami.

Dziękując za rozmowę muszę powiedzieć, że kilkakrotnie miałem wrażenie jakgdybym rozmawiał nie z autorem a z czytelnikiem „Krawędzi”.

Kiedy w dzień po rozmowie z Rzezacem spoisnę iei treść, wrażenie okazuje się trwałe.

Rozmowę przeprowadził
Andrzej Giwarczyk

Wszyscy czytają wydaną książkę
TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

Świat Pani Malinowskiej

Cena 600 zł

Zdrada małżeńska w kręgu rodziny Malinowskich, oszustwo Malinowskiego, korupcja w rządzie sanacyjnym, wszystko przed awionem na tle zginiłaj moralnej, panujące ówczesnie w pewnym odłamie społeczeństwa, oto treść tej najciekawszej książki, najpoczytniejszego obecnie pisarza w Polsce.

Nakład tej książki został przez okupanta zniszczony.

Wydawnictwo „PRZEŁOM”

KRAKÓW, ul. Karmelicka 6

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Berlin — wyspa nieznaną

(Dokończenie ze str. 3)

zenia każdej ofiary — mówca... opuścił Berlin samolotem”.

Dziwne dzieje w roku 1948 stolicznego miasta Berlina podzielały na Berlinczyków otrzewniających. Przynął mit amerykański. Amerykanie ośmieszili się bombastycznością swoich wypowiedzi i paniką, którą sami wywołali i której sami padli ofiarą.

Berlin będzie w przyszłości za lat X stolicą Republiki Niemieckiej. To jest pewne. Lecz Berlin nie będzie stolicą Niemiec Zachodnich w środku Niemiec Wschodnich, jako bastion antysowieckiej polityki amerykańskiej w Europie. To jest również pewne po marcowo-kwietniowym kryzysie.

A w chwili obecnej Berlin jest stolicą w zawieszaniu, stolicą nie działającą od kilku tygodni Sojuszniczej Rady Kontrolnej Niemiec. Poza tym Berlin ma zaszczyt być jedynym skrawkiem ziemi niemieckiej, nad którą faktycznie władzę wykonują w s p ó l n i e przedstawiciele czterech mocarstw, zgodnie z uchwałami poczdamskimi.

Sam Poczdam znajduje się poza obrębem Wielkiego Berlina już w

strefie sowieckiej. Dziwnym przypadkiem uchwiał Poczdamu broń z kamiennym spokojem tylko przedstawiciele władz sowieckich. Amerykanie, Anglicy i Francuzi weszli na niebezpieczną drogę pomijania uchwał poczdamskich i przygotowywania podziału Niemiec. Po próbie podziału Niemiec zrobili próbę podziału Berlina. Próba się nie powiodła.

Berlin — tak twierdzi znajomy mój optymistą — pozostanie bazą przyszłej jedności Niemiec i przyszłej jedności... aliantów.

Berlin — tak twierdzi znajomy mój pesymista — pozostanie na długie lata wrzodem Europy, stale zatrującym pokój świata.

W Berlinie — powiedział mi pewien neutralny obserwator — mocarstwa uprawiają karkołomny taniec na linie Należy jednak zawsze pamiętać, że zawodowi tancerze na linie mają niewatpliwie silniejsze nerwy, niż przyglądający się z dołu widzowie.

Sądzę że wszyscy trzej moi rozmówcy mają po trosze rację. Za dwadzieścia lat będziemy mogli to osądzić zupełnie obiektywnie.

Edmund Osmańczyk



Teresa Roszkowska

(Z wystawy grupy „Powisie”)

Wieś w gorach

NAGROBEK W. PSTROWSKIEMU



rys. B. W. Linke

Nowe wystawy plastyków

W dziedzinie sztuk plastycznych, gdzie wybujałaś zagadnienie kolorystyczno-formalnych wyraża się często we wręcz składowych sekcjach, należy radośnie powitać wszelkie indywidualne lub zbiorowe próby nawiązania kontaktu z rzeczywistością. Nie skostnienie, lecz duża żywotność pomimo realistycznych skłonności wykazuje otwarcie obecnie w Muzeum Narodowym wystawa grupy plastyków pod nazwą „Powiśle” obejmująca prace kilkunastu artystów o bardzo różnych indywidualnościach.

Katalog wystawy zawiera — prócz tekstu — po jednej reprodukcji każdego „Powiśla”, nie zawiera zaś — na szczęście — „rozgłoszonych samoupejów”, do jakich przyzwyczajają, strasząc publiczność, elitarnie odnawia plastyków.

„Zasady grupy streszczają się w kilku słowach: „...ojalność” wobec wszystkich kierunków w sztuce, równowartościowości wszystkich jej dziedzin i — wysiłki związania sztuki z życiem”. Dwa pierwsze punkty wypełnia „Powiśle” już dzięki należeniu do przedstawicieli różnorodnych kierunków. Co do ostatniego, to, sądząc na podstawie zgromadzonego w Muzeum prac, kontakt z życiem polega głównie na jak najciszej zespłaniu i jednoczeniu formy z treścią, co stanowi bodaj czy nie najistotniejszą wież wewnątrz grupy prócz wspomnianego w słowie wstępnym sentymentu dla wspólnej uczelni. Wystawa ma charakter tematyczny, co czyni ją na ogół przystępną dla widza, nie wpływając bynajmniej na obniżenie poziomu.

„Powiśle” liczy obecnie dziesięciu malarzy, trzech rzeźbiarzy i trzech grafików. Prócz prac tych ostatnich są dwa rysunki zmarłego niedawno prezesa grupy, rektora Ostoi-Chrostowskiego, którego wystawa poświęcona odbywa się jednocześnie w sąsiedniej sali.

Ogromny dorobek twórcy tego wirtuoza grafiki został szczegółowo omówiony w starannie wydany katalogu-monografii. Prócz grafiki artystycznej pokazano także tzw. użytkowe prace Chrostowskiego, jak dyplomy, zaproszenia, programy, okładki. Wszystkie zadziwiają wytwornością, niezrównanym rzemiosłem, którego pełne opanowanie oddawało Chrostowskiemu wielkie usługi także w działalności pedagogicznej. Na równi z precyzją rysunku żądał Ostoja od uczniów czujności wobec zjawisk współczesnych, gdyż, jak twierdził, z wszystkich dziedzin sztuki, grafika najbardziej jest powołana do odzwierciedlania nurtu życia. Z pracowni wyszło wielu dobrych grafików o wyczulonym instynkcie społecznym i dokładnej znajomości technik graficznych. Najbardziej b-daj pobieżnie omówienie poszczególnych etapów twórczości Ostoi-Chrostowskiego wymagałoby osobnego i obszernego sprawozdania. Pracom jego zarzucano niejednokrotnie pewną oschłość. Kompozycja jednak, gra czerni i bieli, niezrównana elegancja konturów są bez zarzutu, każda kreseczka staje się niezbędna artystycznie. Przykładem niech posłużą exlibrisy, złożone — przy całym swym bogactwie i czułości — jedynie z koniecznych elementów.

Tak nieskazitelną poprawność i ścisłość kompozycji i wykonania może onieśmielić widza pozornym chłodem, lecz jakże płynna jest granica pomiędzy epiką a liryką!

Skoro już mowa o grafice, wspomnieć trzeba, że dział ten reprezentowany jest w grupie „Powiśle” przez profesorów E. Bartmiejczyka i T. Kulisiewicza oraz asystentów A. Chrostowskiego — Cz. Borowczyka. Bartmiejczyk dał szlachetny i spokojnie skomponowane rysunki fragmentów Warszawy. Kulisiewicz sprawił swym wielbielcom kolejną niespodziankę, która świadczy o jego nieustannych poszukiwaniach twórczych. Tym razem oparł się on o zdobycze rysunku francuskiego ostatniego trzydziestolecia, pozwalając w tej wygodnej pozycji igrać urokiem swej wspaniałej sztuki rysunkowej. Borowczyk, choć bardzo jeszcze przejęty (jakże sugestywnymi!) wpływami Chrostowskiego, zdradza rozmach i samodzielność.

Rzeźbiarce Karny i Masiak — (należący do grupy prof. T. Breyera nie wziął udziału w wystawie) — dali kilka dobrych prac. A Karny lubuje się w mocno charakterystycznym portrecie. Głowy „Mazda” i „Żołnierz radziecki” oraz autotypowy zatyłowany oryginał, nie „Kawał drania” należą do najlepszych dzieł autora. Drobne rzeźby i płaskorzeźby Masiaka mają skłonność do udanego syntetyzowania i odznaczają się wdziękiem.

Spośród dziesięciu malarzy „Powiśla” kilku wystawia swe prace po raz pierwszy od wybuchu wojny, czy to z powodu nieobecności w kraju, czy z braku sal wystawowych. — Do pierwszych należy rektor W. Jastrzębowski, który wystąpił jako malarz i dał — z pominięciem innych dziedzin swej rozległej działalności artystycznej — kilka barwnych gwaszów nacechowanych beztrudną lekkością w swych dekoracyjnych rozwiązaniach (np. krzyżówkę kwiatostany). Jadę dalej w porządku alfabetycznym. Eugeniusz Arcy — jego pejzaż „Aleje Jerozolimskie” wyczuły kolorystycznie, świetny malarstwo jest przykładem obrazu niewątpliwie tematycznego (można nazwać go portretem Warszawy) — a przytem — zachowującym wszelkie wartości artystyczne. M. Bylina, dobry batalista, zdaje się przeżywać jakieś fermenty twórcze. Z pokazanych, bardzo się między sobą różniących prac, można wnioskować o rozległej skali jego możliwości artystycznych. Tematyka Byliny świadczy o jego historycznych zamiatowaniach, co może być bardzo przydatne w naszej burzliwej epoce. „Rok 1939” ma wiele ciekawych zestawień kolorystycznych. Gizela Klimaszewska, znana pejzażystka pracuje usilnie nad kolorem. Pejzaże jej, pełne umiaru i zadumy, mają pięknie rzbudowaną gamę szarości. Skupioną twórczość Klimaszewskiej trudno określić inaczej, niż słowem szlachetna.

W zaniędywanej ostatnio u nas dziedzinie portretu ma „Powiśle” kilka godnych wzmianki przycy. Prof. E. Kokoszko dał portrety oraz pejzaże. Wizerunek Marszałka Rola-Zymierskiego wyróżnia się malunkiem głowy i spojrzaniem, oddanym trafnie a powściągliwie. W pejzażach daje się poznać wysoka tech-

nika malarska Kokoszki, widoczna również w traktowaniu obrusa-drapierii na portrecie Marszałka. Stefan Płużński obdarzony jest prócz talentu wielką inteligencją i rozległą wiedzą malarską, która pozwala mu na swobodne stosowanie ciekawych technik, potęgających wdzieki jego prac. Płużński ma za sobą sprzed wojny obrazy o mocnym wydźwięku społecznym. Wystawien: obecnie „Węglarze” kontynuują tradycję. „Bitwa pod Oliwą” ma wiele uroku, lecz ileż miałaby go historia współczesna, traktowana w ten sam sposób! Kto wie, czy jest malarz, który miałby do takiej pracy równie doskonale dane! Portrety Janusza Podolskiego nie wyczerpują całej jego malarskiej działalności. Podolski mocno charakteryzuje modele, podporządkowując wszystko światłocienności i sile wyrazu. Ciemnym kolorytem i spokojem kompozycji uzyskuje nastroj intymności. Teresa Roszkowska to wulkan „Powiśla”. Malarstwo jej, pełne bujnej radości życia, ma ogromne wartości dekoracyjne, przejawiające się w cbu pokazanych rodzajach prac (kompozycje figuralne i kwiaty) odmiennych ujęciem kompozycyjnym oraz sposobem malowania. Roszkowska dała się poznać w świetle teatralnym jako znakomita dekoratorka, odnosząc triumfy w trzech już po wojnie sztukach. Obrazy jej należą do najlepszych eks-

ponatów „Powiśla”. E. Szymański ma na wystawie dwie prace, zbliżone do siebie ciemnym, gorącym kolorystem i rozmachem malowania. „Łowiczanka” wyróżnia się przyjemną harmonijną kompozycją. W „Kwiatkach” wyszły na jaw zdobnicze skłonności autora.

W wylczeniu „Powiśla” pominięty został Bronisław W. Linke z przyczyny, określonej kiedyś przez śp. prof. Pruszkowskiego w jednej z jego słynnych recenzji przy sposobności pisania o zonie: „...O obrazach tych źle pisać nie mogę ze względu na spokój domowy, a do brze mi nie wypada”.

Anna Z. Linke

Na otwartej obecnie w Muzeum Narodowym wystawie grupy „Powiśle” jest kilka obrazów B. W. Linkego z cyklu pt. „Warszawa”. Obrazy łączą się tematycznie oraz techniką wykonania. — niezwykłym sposobem malowania akwarelą. Dramatyczne dzieje walczącej i męczącej Warszawy przedstawione są z drobiazgowością kronikarza i wyrazistością. Swą pierwszą po wojnie wystawą, artysta uczcił rodzinne miasto. Druga część cyklu, przedstawiająca odrodzenie Warszawy znana jest publiczności tylko ze szkiców, drukowanych w pismach.

K. B.

Korespondencja

NIECH ŻYJA SPROSTOWANIA

Do redaktora „Odrodzenia”

Szanowny Redaktorze, ponieważ kilka lat życia zajmowałem się zawodowo (a bez większego powodzenia!) poprawianiem, nie lubię poprawiać i bardzo niechętnie zajmuję się poprawianiem. Szczególnie jednak nie lubię tych wypadków poprawiania, gdy ktoś w imię czegoś, wyrazi lub zwroty dobre „poprawia” zastępując je gorszymi lub nawet złymi. A tak zdarzyło się ze mną, w artykule bowiem „Świątecznego „Odrodzenia” przerobiono mi „zbiorek (zeszyt) liryków” na „zbiorek (zeszyt) liryk”. Drobiazgi to — ale, jak się dalej okaże, znamienne, pozwolę więc sobie niepoprawnie wyjaśnić.

Gdyby mój „Słownik literacki”, od roku blakający się między Scyllą Ministerstwa Oświaty a Charybdą PZWS był już w ręku czytelnika, wystarczyłoby odwołanie się do tej książki. Tak jak rzeczy stoją, trzeba wdać się w dłuższy wywód.

W naszej terminologii naukowo-literackiej odróżniam trzy wyrazy pokrewne: 1) LIRYKA, 2) LIRYK (-a), 3) LIRYK (-u), które to wyrazy w użyciu potocznym często się krzyżują.

1) LIRYKA, dopełniacz: liryki, rzeczownik używany tylko w liczbie pojedynczej. Znaczą on albo a) dział poezji lirycznej, w przeciwieństwie do epickiej (epiki) i dramatycznej (dramatu), a więc wielki rodzaj literacki; np. przedstawicielami liryki greckiej byli Alkajos i Safona; albo b) twórczość liryczną danego poety, lub też ogół jego utworów lirycznych; np. liryka Mickiewicza, Staffa, Lesmiana.

2) LIRYK, dopełniacz: liryka, liczbą mnoga: liryki, liryków, oznacza poetę piszącego wiersze liryczne (horacjańskie vates lyricus), np. Mickiewicz, Słowacki etc. jako liryk, liryki greccy.

3) LIRYK, dopełniacz: liryku, liczbą mnoga: liryki, liryków, poemat, wiersz, utwór liryczny. W epoce neoromantyzmu częsty bywał tytuł „Liryki” mający dobrą tradycję, już bowiem w czasach Książki, poeci wydawali zbiory p. t. „Liryków ksiąg czworo”. I w zgodzie z tym sam posługując się zwrotami w rodzaju: tom liryków Tetmajera, Staffa jako autor liryków filozoficznych i t. p.

Wyraz „liryk” w znaczeniu ostatnim ma osobliwą historię, której nie umiem odtworzyć w szczegółach, a która w zarysie wygląda mniej więcej tak: Wyrósł on na pniu łacińskiego „carmen lyricum” (pieśń liryczna, utwór liryczny); liczbą mnoga tego zwrotu brzmiała: „carmina lyrica” albo po prostu „lyrica”; wyraz „lyrica” w znaczeniu zbioru utworów lirycznych przyjął się u nas już w XVII w. Kochońskiego) i odmiennie się tak samo jak inne z łaciny przejęte n. p. gimnazja, licea, fakta, to też dopełniacz jego odpowiadający łacińskiemu „lyricorum” brzmiał liryków i z biegiem czasu od tej liczby mnogiej powstał rzeczownik „liryk”, analogiczny do wyrazów: akt, fakt i t. p.

Julian Krzyżanowski
(Warszawa)

DEKLARACJA

Zgłaszam się na członka Klubu Literackiego „Odrodzenia” i zobowiązuję się do płacenia abonamentu za książki w kwocie zł 1.800 rocznie, płatnych po 150 zł miesięcznie lub po 300 zł co drugi miesiąc lub po 900 zł półrocznie (niepotrzebne skreślić).

Moje prawa i obowiązki są mi znane.

Imię i nazwisko

Adres

(podpis)

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem: Warszawa, Daszyńskiego 14, Klub Literacki „Odrodzenia”.

SUKCES POLSKIEGO FILMU

Film „Ostatni etap”, który wzbu- dził tyle zainteresowania, ocen, polemik i wypowiedzi ze strony krytyków i publiczności, zaczyna zdobywać obce ekrany.

Prasa czeska pisząc o tym filmie stwierdza, że da się postawić o-bok najbardziej artystycznych filmów radzieckich. Chwalać poziom techniczny podkreśla szczególnie fakt, że „Ostatni etap” jest pracą bardziej kolektywną i bardziej wyrównaną niż wiele innych utworów filmowych, ukazujących losy i przeżycia człowieka w okresie wojennym, a już dziś uznanych za klasyczne.

„Ostatnim etapem” zaintereso- wało się szereg państw. Finalizują się umowy z Norwegią, Szwecją, Jugosławią, Czechosłowacją i Palestyną.

Niedawno w Norwegii odbył się zjazd b. więźniów politycznych, w którym udział wzięła Wanda Jakubowska. Podczas zjazdu został wyświetlony film Jakubowskiej, spotykając się z bardzo życzliwym przyjęciem.



Wanda Jakubowska

CAMERA OBSCURA
CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ululek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura” pod adresem: Redakcja „Odrodzenia”, Warszawa, Daszyńskiego 14, dział „Camera obscura”. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przysyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału zastrzegając sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura”. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przynajmniej nagrodę w wysokości 1000 zł, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł. 1.000 otrzymali w ubiegłym tygodniu dr Stanisław Turczyński, Kraków, Wawel — Zamek Król. oraz Stefan Dürr, Warszawa, Mich.ewicza 27 m. 186, po 500 zł. każdy, za wycinek z „Camera Obscura”.

CAMERA W CAMERZE

W „Camerze” w 177 nrze „Odrodzenia” wycinek z „Robotnika” został opatrzony następującym do-wcipnym komentarzem:

„Bujda! Na dziedzińcu pałacu Potockich stanie posąg Colleonego dżuta Donatella”.

Bujda! Na dziedzińcu pałacu Potockich stanie posąg Colleonego dżuta Andreu Verrocco!

NIEZNANY SPRAWCA

Z „Kuriera Popularnego” dowiadujemy się:

Atak na Pałac Narodowy w Bogota nastąpił po zranieniu przez niewykrytego sprawcę dr. Jorge Gaitana, przywódcy opozycji partyjnej liberalnej.

Thum dokonał samosądu na sprawcy, a następnie wdął się do pałacu wykrykując „śmierć Laurano Gomezowi”!

Okropnie! Domyśliśmy się bowiem, że po samosądzie nie pozostało ze sprawcy nie! Nawet do kumenty...

DO CYRKU JA!!

„Dziennik Zachodni” zamieszcza następującą notatkę:

Instruktor Centrali Rybnej Katowice. (um) Przybyła tu p. Maria Dłuska, instruktor Centrali Rybnej przy Min. Aprotwiczy. Zabawi ona na Śląsku do 10 maja br., popularyzując w drodze pokazów praktycznych spożycie dorsza i innych ryb morskich, które u nas w kraju jest, niestety, niedostępne.

W ciągu dwudniowego pokazu, zjadła ob. Dłuska 1.463 kg. dorsza, będąc podziw zgrupowanej publiczności. Nie bez pikanterii jest szczegół, że po spektaklu na prywatnej kolacji, również jadła dorsza. Tłumaczyła, że podczas pokazu jadła z obowiązku, a teraz — dla przyjemności.

BIJEMY NA ALARM!

Od wielu czytelników otrzymujemy listy z przykładami błędów korektorskich na łamach naszej prasy. Błędy te zniekształcają myśli autorów, bardziej wykształconych czytelników — drażnią, a mniej wykształconych — wprowadzają w błąd. Oto kwiatek z „Dziennika Zachodniego”:

Zwycięstwo szermierzy szwedzkiej Rzym (obst. w.) Rozegrano tu między państwami mecz w szabli pomiędzy najsilniejszymi zespółami Europy — Węgrami i Włochami. Zwycięstwo odniosła reprezentacja Węgier w stosunku 19:17.

Prosimy o staranniejszą korektę, mimo, że prośbą tą podcinamy ga-

łąż, na której sami siedzimy. Tym lep-ej. Dzień, w którym przestaniemy istnieć, będzie dniem naszego triumfu.

CIEMNA NOC KSIĘŻYCOWA

W „Opini” z 19-go IV-ego znajdujemy taki opis walki:

Noc ciemna, choć oko wykol. Księżyc smoci. Mży deszcz. Okoła świszcza kule. Wzrastają padają na północie obrońców. Naprzędona, śmiertelna cisza panuje dookoła.

Cisza... przzerwana wybuchem głośniego śmiechu...

NOGA

W „Zielonym Sztandarze” z 7-ego III-ego pisze ob. Anne Dłuska:

A że demokracja nie na jednej nodze stoi, a na dwóch — politycznej i gospodarczej, to też i w sprawie równouprawnienia kobiet musi być to samo. Samo równouprawnienie kobiet z mężczyznanami, jak praktyka wykazuje, nie wystarcza. Musi i ta sprawa otrzymać drugą nogę, by się nie zachwiała.

Czyżby naprawdę chodziło o drugą nogę?

CUDA TECHNIKI

„Słowo Polskie” zamieszcza reportaż z „Wystawy Ziem Odzyskanych”. Między innymi czytamy:

Na środku dużego placu, który okolony jest wspomnianymi wyżej pawilonami, stoi stalowa maszyna, 100-metrowej wysokości. Wykonała go firma Mostostal według projektu inż. Hempła. Opierać się on będzie na kulce porcelanowej.

Kulka zaś porcelanowa spoczywać będzie na nosie żonglera z cyrku Stan-ewskich...

POWRÓT POETY

W toruńskim „Głosie Pomorza” znajdujemy następujące ogłoszenie:

Wrócił poeta Józef Czerni — Toruń Mickiewicza 2-4. (2836) Witając poetę Józefa Czerni, prosimy jednocześnie o dalszą współpracę w naszym poczytnym dziale.

WIELKA IMPROWIZACJA

W 158-ym nr. „Przekroju” czytamy:

J — 44. Symboliczna cyfra, po wszechnie znana Wielkiej Improwizacji Mickiewicza.

Śiać! Dwój! Cyfra 44 znana jest z Widzenia Ks. Piotra...

Czy jesteś już członkiem Klubu Literackiego „ODRODZENIA”?